№ 3. Warszawa, dnia 8 (20) Stycznia 1883 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. — Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedyńczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi we LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3, na prowincyi z przesyłką pocz. złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwar. w miejscu złr. 2 c. 75, na prowincyi złr 3 c. 50.—W POZNANIU prenumerować można we wszystkich księgarniach kw. w miejscu prenum. wynosi marek 5 na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6.- Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Widok Nr. 3.

TREŚĆ:

Fryderyk Szopen.

(Dokończenie).

Rzeczywiście Liszt miał wielką słuszność zaznaczając, że Szopen w swym charakterze posiadał coś kobiecego. Sam on nawet to czuł i wypowiedział w jednym liście, przyznając sobie, że jest istotą niezdecydowaną.

Istotnie tak było. W Wiedniu sam nie wiedział co ma robić. Do Włoch już nie pojechał, udał się natomiast do Paryża, dokąd przybył niby w przejeździe do Londynu. Ale zetknąwszy się tu z rodakami, pozostał na dłużej. Pierwsza bytność we Francyi nie zbyt szczęśliwie powiodła się Szopenowi. Nieznany i nieceniony przez nikogo prócz Polaków, zwątpił o sobie, tak dalece, że postanowił jeszcze brać lekcye. Mistrzem jego miał być głośny swego czasu fortepianista Kalkbrenner, któremu chodziło o to by Szopena mógł nazwać swoim uczniem.

Fryderyk prowadził z tego powodu dosyć ożywioną korespondencyą ze starym swoim nauczycielem Elsnerem, który niechętnym na to patrzył okiem. Z frasunkiem więc odpisuje on swemu uczniowi odwodząc go od tego kroku.

Widać z jego listu, że obawia się, aby Fryderyk nie przejął się metodą Kalkbrennera, a tem samem nie zatracił swojej oryginalności. Szczęściem lekcye te i marzenia spełzły na niczem, gdyż Fryderykowi źle się wiodło zupełnie. Przez jakiś czas nosił się nawet z myślą wyjazdu do Ameryki, ale i to wkrótce porzucił i miał powrócić do Warszawy, na co już zezwolenie ojca otrzymał. Wtem zaszedł wypadek, który odrazu zmienił postać rzeczy. Na krótko przed przyjazdem spotkał się Fryderyk z księciem Walentym Radziwiłłem, który zaprosił go na wieczór do Rottszyldów. Szopen poszedł, a gdy go otoczyło najświetniejsze towarzystwo paryzkie, gdy znalazł się wśród kwiatów, świateł, przepychu i tej rozkosznej atmosfery, której tak potrzebowała ta wykwintna egzotyczna roślina, odrazu znalazł się w swoim żywiole, upoił się tem otoczeniem tak, że usiadłszy na prośbę gospodyni do fortepianu oczarował wszystkich improwizacyą wielkiem uczuciem natchnioną i po mistrzowsku prawdziwie wykonaną.

Od tego wieczora położenie materyalne Szopena zmieniło się bardzo. Szczęście dawne uśmiechnęło mu się na paryzkim bruku. Natychmiast jeszcze w salonie Rottszyldów otrzymał kilka zaproszeń do dawania lekcyi w pierwszych domach stolicy.

Przyszło uznanie, sława, dostatek, Szopen nie umiał się wprawdzie rachować, ale zarabiał wiele, tyle przynajmniej, że mógł nie myśléć o kłopotach codziennego życia. Nie on o lekcye, ale o niego ubiegali się wszyscy. Sława jego rozchodziła się coraz szerzej i jednała mu fantastycznych wielbicieli. Ale te powodzenia i tryumfy, życie rozkosz ne i gorączkowe, podkopywało zwolna jego zdrowie.

Z Paryża wybrał się do Akwizgranu, Karlsbadu, Marienbadu, Drezna i Lipska, gdzie nowe pozabierał znajomości. W czasie tego pobytu w Niemczech został narzeczonym p. Maryi W. Biograf nie podaje bliższych szczegółów tego stosunku. Wiemy tylko, że pani W. bawiła z córką za granicą, która pokochana przez Fryderyka, odpłaciła się mu równąż miłością. Panie te powróciły do domu by uzyskać pozwolenie ojca, Fryderyk uszczęśliwiony i rozpromieniony pełen nadziei wyjechał do Paryża. Dumny jednak szlachcic pan W. za nic w świecie nie chciał się zgodzić, aby jego córka poszła za muzyka i stosunek się rozchwiał.

Ale i po tej stracie wkrótce Szopen przebolał, gdyż niedługo spotykamy go z kobietą, która na całe jego życie wywarła wpływ zgubny.

Tą kobietą była pani Georges Sand.

Jak polip w morskiej otchłani porywa i wysysa tych, których burza mu zeszle, tak i ona wysysała nie jednego. Trudno jednak wytłomaczyć stosunek tej kobiety do Musseta i Szopena na raz... Nie mamy potrzeby dłużej zajmować się tą sprawą. Musset tu nas zupełnie nie obchodzi, co się zaś tyczy Szopena, ten niechcący dostał się w jej szpony.

— Podczas jednego dnia dżdżystego — mówi biograf — Szopen znajdował się w stanie silnego rozdrażnienia nerwów, będącego skutkiem zbyt wilgotnej temperatury, której nigdy nie znosił.

Nikt ze znajomych nie odwiedził go przez dzień cały. Żadna książka rozerwać go nie mogła, ani jedna myśl muzykalna nie przyszła mu do głowy. Nareszcie kiedy wybiła godzina dziesiąta wieczorem, przypomniał sobie salon hrabiny C. W tym dniu bowiem przyjmowała towarzystwo składające się z osób odznaczających się pięknością, rozumem albo artystycznemi zasługami.

Kiedy Szopen szedł po schodach, pokrytych dywanami, zdawało się mu jak gdyby cień jakiś postępował za nim. Woń fjołków i ulubionych mu kwiatów rozchodziła się w powietrzu i takiego naraz doznał uczucia, jak gdyby go miało coś niezwykłego, coś nadzwyczajnego spotkać. Już chciał nawet zawrócić do domu, lecz ostatecznie namyśliwszy się, drzwi otworzył. Przeczucie to ziściło się, Szopen spotkał się tu z niełądną, ale znającą wybornie usposobienie ludzkie panią Sand. Właśnie wtedy improwizował. Muzyka płynęła potokami z pod palcy mistrza. Tak przebiegał okres

po okresie. Nagle Szopen przerwał, a spojrzawszy przed siebie, ujrzał wspartą na końcu fortepianu kobietę nieruchomie, niby kamienny posąg naprzeciwko stojącą. Czarne jej płonące żarem oczy przy oliwkowej prawie cerze twarzy, zdawały się go na wskroś przeszywać, Szopen uczuł, że pod wpływem jej magnetycznego wzroku, twarz jego się zarumieniła. Ona uśmiechnęła się nieznacznie. A kiedy powstał z krzesła i schronił się dla odpoczynku po za grupą kwiatów kameliowych, posłyszał szelest jedwabnej sukni wydającej woń fiołkową i ujrzał tuż przy sobie ową damę, która go tak wzrokiem przy fortepianie prześladowała, wspartą na ramieniu Liszta.

Przedstawiona Szopenowi, poczęła mówić o jego bujnej improwizacyi. To zobowiązało niejako młodego muzyka, a jakaś duchowa siła i poetyczność wyrażeń sypiąca się z ust pani Sand, przekonywały go, że potrafi zgadnąć i zrozumiéć jego natchnienie jak nikt jeszcze dotąd. Tak zawiązał się pierwszy stosunek.

Odtąd rozpoczyna się nowy okres w życiu Szopena.

Dawne jego piękne mieszkanie na Chaussé d'Antin, w którem przyjmował muzyk niejednokrotnie Adama Mickiewicza, Henryka Heynego, dalej Liszta i Meyerbera, wreszcie Niemcewicza, Witwickiego, Ary Schäffera, Eugeniusza Delacrois i Adolfa Nourrit, zostało otwarte jeszcze dla jednego gościa, dla pani Georges Sand.

Pan Karasowski pisze, że w tem poufnem kółku Szopen promieniał radością i wpadał w dawną wesołość swoich lat młodzieńczych, posuwając się aż do swawoli i figlów.

Wkrótce jednak potem opuścił Paryż i udał się w 1837 roku do Londynu a w następnym roku już mocno na siłach podupadły, do Nohand letniego mieszkania pani Sand.

Z tego czasu posiadamy sporo jego listów pisanych do Fontany, z których przekonujemy się, że komponował wiele i wydawał, gdyż zmuszała go do tego potrzeba zarobku bo lekcyi nie miał żadnej.

Pomimo tego stan zdrowia nie polepszał się wcale, a wieś nie wywierała żadnego wpływu. Więcej niezaprzeczenie niż wsi i świeżego powietrza potrzeba było Szopenowi rozłączenia się z panią Georges Sand.

Ale słabemu i nie mającemu silnej woli Szopenowi trudno było tak postąpić. Zalecona przez lekarzy zmiana klimatu, również nie przyniosła pożądanego skutku.

Na wyspie Majorce razem z panią Sand zajął tam klasztor Kartuzów zwany „Valdemosa" i tam wśród murów, krożganków i posępnych korytarzy, mieszkali w celach, siedzieli przy łojowych świecach, a za meble służyły im kulawe stołki.

Rozstrój nerwowy Szopena dochodził tu do najwyższego stopnia. W chwilach gdy Sand wraz z swym synem udawała się do blizkiego miasteczka po zakupienie potrzebnych do życia prowiantów, Fryderyk zostawał samotny. Cierpienia jego przechodziły wszelkie wyobrażenie. Miewał wizye i halucynacye.

Wróciwszy do domu Sand, zastawała go nieprzytomnego z obłąkanemi oczyma i oblanego zimnym potem. Chwilami nawet zdawało mu się, że umarł, że zaczęło się dla niego jakieś inne tajemnicze życie, wśród ciemności, wśród strasznych jakichś murów pokręconych w tajemnicze krużganki. To znów wyobrażał sobie, że otaczają go duchy, a wówczas zabobonny przestrach podnosił mu włosy na głowie.

Dla odpędzenia tych mar siadał do fortepianu i wtedy wyrywały mu się z pod ręki rozdzierające i tragiczne melodye, które podniecały go jeszcze bardziej. Tak powstał — pisze biograf — cały szereg utworów, które wyszły pod skromnem imieniem „Preludium". Pełne siły i fantazyi zdają się swemi tonami wywoływać przed oczy słuchaczy szereg pomarłych mnichów z pogrzebowym orszakiem. Pomimo tego wkrótce zdrowie Szopena zaczęło znacznie się polepszać tak dalece, iż powróciwszy do Paryża odzyskał dawny dowcip i wesołość. Nawet pan Cauviéres stwierdził stanowczo, że artysta nie ma suchot i że przy odrobinie poszanowania może w zupełności powrócić do dawnych sił. Ale nadeszła złowroga zima. Szopen pomimo przestróg życzliwych przyjaciół powrócił do dawnego życia. Noce spędzał bezsenne, w dzień pracował, tak iż wkrótce powróciły groźne symptomata. Wreszcie do tego wszystkiego przyczyniła się znacznie i śmierć ojca. Szopen nie mógł się zdobyć nawet na napisanie listu z pociechą do matki, która niechętnem okiem patrzyła na ten jego stosunek z panią Sand. Za to owa znienawidzona w rodzinie Szopena kobieta, zastąpiła syna i w niewypowiedzianie nieprawdziwych słowach pocieszając wdowę skreśliła głębokość swych uczuć. Tymczasem już dawno wprost przeciwnie się działo. Stosunki ich utrzymywały się jedynie, jeśli się tak wyrazić można, siłą bezwładności.

Wkrótce nawet kobieta ta starała się dać mu do poznania, że pragnie go się pozbyć. Położenie Szopena w domu pani Sand stawało się nieznośnem i upakarzającem.

Rola opiekunki, rola wiernej do grobu znudziła się jej zupełnie, dlatego jedynie może, że wielki artysta nie umierał rychło.

Zniecierpliwiona, napisała wreszcie romans pod tytułem „Lukrecya Floryani" w którym odmalowawszy cały swój stosunek do Szopena uczyniła z siebie nieszczęśliwą ofiarę, a z niego samoluba, wyzyskującego jej dobroć. Kartki drukowanego romansu umyślnie kładła na biórku Szopena, aby on to czytał i poznawał siebie w bohaterze, a dzieci jej niejednokrotnie też mawiały do niego:

— Czy pan wie panie Szopen, że książę Karol, to pan, a Lukrecya to mama.

Ale Szopen tak dalece był już wyczerpany, tak stracił wszelką energię, że i wówczas jeszcze nie zerwał z tą kobietą.

Odtąd też powtarza się scena za sceną. Pani Sand stara się go pozbyć, on jednak przywiązawszy się do niej nie przyjmuje tych uraz, aż wreszcie zaszła bolesna scena, w której pani Sand tak strasznie obeszła się z własną córką. Oburzony Szopen, który przebaczał jej własne urazy, teraz zerwał z nią ostatecznie i odtąd ledwie raz w życiu tylko się spotkali: było to na wieczorze u pani H. Ona zbliżyła się ku niemu z twarzą pełną skruchy i pokory, a usta jej wyszeptały z uczuciem: Fryderyku! — On zbladł, skłonił się obojętnie i wyszedł z salonu...

Tymczasem zdrowie coraz więcej podupadało, choroba rozwinęła się tak groźnie, iż nie było na nią ratunku. Wprawdzie Szopen nie liczył się z nią wcale i żyje podawnemu. Nawet wyjeżdża do Anglii, gdzie się nim opiekują panny Stirling. Były to Szkotki bogate, entuzyastki i zapalone wielbicielki Szopena. Opieka ich była poprostu anielska, ale nużyła chorego artystę, który zniecierpliwiony w jednym z listów do Grzymały mówi:

„Moje Szkotki pokoju mi nie dają, one mnie przez dobroć zaduszą a ja im tego przez grzeczność nie odmówię.

Po powrocie do Paryża czuł się tak źle, że wszyscy przeczuwali nadbiegający koniec. On jeden tylko miał nadzieję. Zchorowany i znękany nie wychodził z domu, a tem samem i nie zarabiał. Do upadającego zdrowia przyczyniła się i nędza.

Było już tak źle, że aż miss Stirling przyszła z pomocą uwielbianemu mistrzowi. Z niesłychaną zręcznością i delikatnością kazała podrzucić na jego stole sumę 20,000 franków, tak iż Szopen nie wiedział od kogo przyszły i zkąd się wzięły.

Nadszedł wreszcie ów nieszczęśliwy październik. Fryderyk nie mógł już się o własnych siłach podnosić.

Przy łożu śmiertelnem zasiadła siostra Jędrzejowiczowa, umyślnie przybyła z Warszawy i najbliżsi przyjaciele. Nawet Delfina Potocka, śpiewając mu na parę dni przed jego śmiercią, prawie przez łzy pieśń Belliniego nie odstąpiła od łoża. Dnia 19 października 1849 roku Szopen zasnął cicho i spokojnie. Oto jest w streszczeniu skreślone życie wielkiego geniusza artysty.

Był to człowiek z duszą na wskroś artystyczną i tkliwą; czuły i wykwintny, kochający piękno i nieznoszący wszystkiego co było szorstkiem i brutalnem. W życiu jednak brakło mu energii i siły, a przedewszystkiem męzkości. Muzyka jednak nie wyszła tak słabą. Owszem nadmiar potęgi tonów, siła, oryginalność i fantazya składa się na te arcydzieła, które po sobie pozostawił!

KONIEC.

SONET.

Jak błogi spokój w całej rozlany naturze,
Jaka urocza cisza panuje do koła!
Przyroda uśmiechnięta i taka wesoła,
Jak śpiew młodej dziewczki przy rówiennic wtórze.

Spojrzyj tam... tam... na niebios przezroczym lazurze,
Po nad te wiejskie chaty i bieluchne sioła,
Król dnia poddanych swoich do spoczynku woła,
I senną głowę skłania w błyszczącej purpurze.

Wiosna! umilkły wichry i śnieżne tumany,
Powrócona do życia natura się śmieje,
I młodością szczęśliwa o przyszłości marzy.

Ah! czemuż serca mego wciąż krwawią się rany?
Czemu wiosna budząca radość i nadzieję,
Spokoju na mej nigdy nie odbija twarzy?

Bogumiła.

KSIĄDZ KONSTANTY.

NOWELLA

przez

Ludowika Halévy.

Tłomaczył z francuzkiego

H. K.

(Dalszy ciąg.)

Wszyscy czworo, z wielką przyjemnością, poddali się temu programowi. Suzie i Bettina, spokojne, wypoczęte, w zupełnem oderwaniu od wczorajszego swego rodzaju życia, poczynały już uczuwać przywiązanie do tego kraju co je przyjmował i który miał je zatrzymać.

Jan daleko mniej był spokojnym, słowa powiedziane przez miss Percival do głębi go wzruszyły; serce jego nie odzyskało jeszcze swego normalnego stanu.

Ale ze wszystkich najszczęśliwszym, bez zaprzeczenia był Ksiądz Konstanty. Najmilsze na nim wrażenie uczynił mały epizod, który skromność Jana na tak przyjemną a tak ciężką wystawił próbę. Poczciwy księżyna miał dla swego chrześniaka tak silne uczucie! Najczulszy ojciec nigdy więcej by nie kochał najdroższe ze swych dzieci. Kiedy stary proboszcz patrzył na młodego oficera, nieraz się zdarzało iż mówił do siebie:

— Bóg mnie pobłogosławił! Jestem kapłanem i mam syna!

Proboszcz utonął w najprzyjemniejszem marzeniu: znajdował się jak u siebie, lepiej niż u siebie; myśli jego gmatwały się powoli i mieszały. Marzenie przeszło stopniowo w odrętwienie, odrętwienie w drzemkę; nieszczęście stało się zupełnem, proboszcz zasnął i zasnął głęboko. Ten obiad cudowny, te dwa czy trzy kieliszki szampańskiego wina i ten fotel tak wygodny na którym go posadzono, nie mało się przyczyniły do strasznej katastrofy.

Jan nic nie widział. Zapomniał o obietnicy danej chrzestnemu ojcu. I dlaczegóż zapomniał o tem? Oto dlatego, że pani Scott i miss Percival przyszło na myśl położyć nóżki na ogrodowych taburecikach, stojących przy ich wyplatanych fotelach poduszkami wyłożonych. Potem leniwie wyciągnęły się na nich, co spowodowało iż muszlinowe spódniczki podniosły się nieco, mało, bardzo mało, ale dość aby odkryć cztery malutkie nóżki, których zgrabne kontury bardzo wyraźnie się odbijały wśród fali białych koronek, oświetlonych blaskiem księżyca. Jan nie mógł oderwać wzroku od tych małych nóżek i stawiał sobie to pytanie:

— Które z nich mniejsze?

Kiedy się starał rozwiązać to zagadnienie, Bettina nagle się odezwała, mówiąc cichym głosem:

— Panie Janie! panie Janie!

— Co pani rozkaże?...

— Patrz pan na księdza proboszcza, zasnął.

— Mój Boże! prawda! to z mojej winy.

— Jakto, z pańskiej winy? — zapytała pani Scott równie głos zniżając.

— Tak, pani.. Mój ojciec chrzestny wstaje bardzo rano a wcześnie spać się kładzie, bardzo mnie prosił abym mu tu nie dał zasnąć. Często mu się zdarzało, u pani de Longueval, zdrzemać się po obiedzie. Pani go przyjęła z taką dobrocią, że pomimo woli wrócił do dawnego nałogu.

— I jakże dobrze uczynił! — rzekła Bettina.— Nie róbmy hałasu, nie budźmy go.

— Jakaż pani dobra, ale wieczór staje się nieco chłodnym.

— Masz pan słuszność. Mógłby dostać kataru! Pójdę i przyniosę mu jakie okrycie.

— Ja sądzę, że byłoby lepiej zręcznie go zbudzić tak ażeby się nie domyślił, że panie widziały go śpiącym.

— Pozwól pan, ja to zrobię. Wiesz co, Suzie, zacznijmy śpiewać razem, najprzód powoli, potem stopniowo głos podnosząc... Śpiewajmy.

— Dobrze, ale co?

— Spiewajmy: *Something childish*... Nawet i słowa stosowne.

Obie siostry poczęły śpiewać.

Ich głosy łagodne i przenikające, wśród tej ciszy nocnej, miały dźwięczność niewysłowioną. Ksiądz nic nie słyszał, nie poruszył się zgoła. Zachwycony tym małym koncertem, Jan myślał sobie:

— Ach! gdyby mój ojciec nie zbudził się tak prędko.

Tymczasem głosy podnosiły się i czyściejszemi się stawały.

Proboszcz spał snem sprawiedliwego.

— Jak on śpi! — mówiła Suzie — zbrodnią byłoby go budzić.

— Ale potrzeba! potrzeba koniecznie! Śpiewajmy głośniej, moja Suzie.

Obie poczęły śpiewać całym głosem:

Ksiądz nagle się zbudził. Po krótkiej chwili niepokoju, odetchnął swobodnie... Siostry nie przerywały śpiewu... Nikt, oczywiście, nie dostrzegł, że się zdrzemnął. Wyprostował się, przeciągnął się powoli, ostrożnie... Czuł się uratowanym.

W kwadrans potem, obie siostry odprowadzały proboszcza i Jana aż do małej furtki w murze parku, która się na wioskę otwierała, o sto kroków od probostwa.

Zbliżano się do tej furtki, gdy Bettina nagle zagadnęła Jana:

— Ach panie, już od trzech godzin mam pana spytać o rzecz jedną. Dziś rano, gdyśmy z dworca jechały, spotkałyśmy na drodze młodego człowieka szczupłego, z wąsami jasnemi; jechał na karym koniu, ukłonił się nam gdyśmy go mijały.

— To Paweł de Lavardens, jeden z moich przyjaciół. Miał on już zaszczyt być paniom przedstawiony... ale w takim tłumie... na balu. To też jego najgorętszem życzeniem jest, być powtórnie prezentowanym.

— A więc dobrze! przyprowadzisz go pan którego z tych dni — rzekła pani Scott.

— Ale nie przed 25-tym—zawołała Bettina: — Nie pierwej! nie pierwej! Nikogo aż do tego czasu niechcemy widzieć, nikogo, oprócz pana, panie Janie... Ale pan, to coś nadzwyczajnego, sama dobrze nie wiem jak to się stało, ale już nie jesteś dla nas gościem... Nie zdaje mi się aby mój komplement zręcznie był powiedziany, jednakże pro szę cię nie myśl, że to komplement... Mówiąc to miałam chęć być bardzo grzeczną względem pana.

— I jesteś nią, pani.

— Tem lepiej jeżeli miałam szczęście być dobrze zrozumianą... Do widzenia, panie Janie, do jutra!

Pani Scott i miss Percival zwolna wracały do zamku.

— A teraz, moja Suzie, wygderaj mnie, a dobrze... Spodziewam się tego, bom zasłużyła.

— Gderać! a za co?

— Powiesz, jestem tego pewna, żem była zanadto poufałą z tym młodym człowiekiem.

— Nie, nie powiem ci tego... Ten młodzieniec, od pierwszego dnia, bardzo dobre na mnie uczynił wrażenie. Wzbudził we mnie ufność najzupełniejszą.

— We mnie także.

— I jestem przekonaną, że należy nam się starać mieć w nim przyjaciela.

— Co do mnie, z całego serca!... Tembardziej, moja Suzie, żem już bardzo wielu młodych ludzi widziała, od czasu naszego pobytu we Francyi... O! tak, widziałam ich bardzo wielu!... i wiesz, ten jest pierwszym, stanowczo pierwszym, w którego oczach nie dostrzegłam tych słów wyraźnie wypisanych: „O Boże! jakżebym ja chętnie się ożenił z milionami tej małej osóbki!” To tak jasno odbijało się w oczach ich wszystkich... tylko nie w oczach jego... No, ja teraz już idę spać... Dobranoc ci, Suzie i do jutra.

Pani Scott poszła zobaczyć swe dzieci i śpiące ucałować.

Bettina długo jeszcze pozostała oparta o balustradę swego balkonu.

— Zdaje mi się — myślała sobie — że ja ten kraj bardzo pokocham.

VII.

Nazajutrz rano, zaraz po skończonej mustrze, Paweł de Lavardens, przechadzał się po dziedzińcu koszar, oczekując na Jana. Zaledwo mu pozwolił zsiąść z konia... i gdy nareszcie znaleźli się sami:

— Opowiedz że mi — zawołał – opowiedz prędko o twoim wczorajszym obiedzie. Ja wczoraj jeszcze spotkałem je z rana. Mała powoziła czteroma małemi poneyami... a jak zręcznie!... Ukłoniłem się im. Czy mówiłeś co o mnie? Czy mnie poznały?... Kiedyż wprowadzisz mnie do Longuevalu?... Ale odpowiadajże! odpowiadaj prędzej.

— Odpowiadaj! odpowiadaj!... Ale naprzód na które pytanie?

— Na ostatnie.

— Kiedy cię zaprezentuję w Longuevalu?

— No, tak.

— A więc, za dni dziesięć. Przedtem nie można, nie chcą widzieć nikogo w tej chwili.

— Więc i ty nie będziesz w zamku przez tych dni dziesięć?

— O! ja, będę tam dziś o czwartej. Ale się nie liczę... Jan Reynaud, chrzestny syn proboszcza!... Oto jakim sposobem pozyskałem z taką łatwością ufność tych dwóch najmilszych kobiet, wszedłem w ich towarzystwo pod opieką i za gwarancyą kościoła... A potem pokazało się, że mogę oddać niektóre małe usługi, znam dobrze okolicę, zużytkują mnie jako przewodnika... Wreszcie, jestem niczem, kiedy ty, hrabia Paweł de Lavardens ty, jesteś kimciś! To też nie lękaj się, kolej twoja przyjdzie, kiedy zaczną się fety i bale, kiedy będzie potrzeba bawić się i tańczyć. Wtedy wystąpisz w całym swym blasku, a ja skromnie w cień mój zapadnę.

— Żartuj sobie ze mnie ile ci się podoba... Jednak zawsze to będzie prawdą, że przez te dni dziesięć wyprzedzisz mnie ogromnie, o! wyprzedzisz!...

— Jakto! wyprzedzę?

— Dajże pokój, Janie, czy chcesz mnie przekonać, że już nie jesteś zakochany po same uszy w jednej z tych dwóch ślicznych kobiet? Czyż to być może?... Taki zbytek! tyle piękności! O!... zbytek może więcej jeszcze aniżeli piękność! Zbytek, w tym stopniu, to mnie odurza, porywa, zachwyca! Te cztery śliczne czarne koniki, z kokardami z róż białych; całą noc śniłem o nich... Albo i ta mała... Bettina... wszak tak?

— Tak, Bettina.

— Bettina!... hrabina Bettina de Lavardens!... To brzmi wcale ładnie! A jakiegoż doskonałego męża miałaby ze mnie! Być mężem kobiety bajecznie bogatej, to moje przeznaczenie! A nie jest to tak łatwo jakby się zdawało! Potrzeba umieć być bogatym, a ja mam ten talent. Złożyłem już moje dowody; puściłem trochę pieniędzy... i gdyby mnie matka nie powstrzymała... Ach! jak ona ze mną byłaby szczęśliwą! Urządziłbym jej życie, jakby jakiej królewnej w bajce... Czuła by w swym zbytku dobry gust, sztukę i naukę męża... Życie bym spędzał na dogadzaniu jej, strojeniu, upiększaniu, tryumfalnie obwoziłbym ją po stolicach całego świata. Studyowałbym jej rodzaj piękności, aby ją w stosownych, odpowiednich dla niej, umieścić ramach... Mówiłaby sobie: „Gdyby jego tu nie było, nie byłabym tak piękną” nie tylko umiałbym ją kochać, ale umiałbym ją zabawić... Miałaby za swoje pieniądze i miłość i przyjemność ileby chciała!... No, słuchaj Janie, dziś zaprowadź mnie z sobą do zamku.

— Nie mogę, nie mam prawa, zaręczam ci.

— A więc! dopiero za dziesięć dni, ale wtedy, uprzedzam cię, instaluję się w Longuevalu i już się nie ruszę. Najprzód zrobię tem przyjemność matce. Jest jeszcze trochę uprzedzoną przeciw tym Amerykankom, mówi że tak się urządzi, aby nie spotykać się z niemi, ale ja ją znam, moją mamę! Tego dnia, kiedy wracając wieczorem, powiem jej: „Mamo, zdobyłem sobie serce ślicznej, młodej osóbki, obarczonej ciężarem kapitału dwudziestu milionów i dochodem jakich ze trzy miliony...” Bo to co mówią o stu milionach, to przesadzone, prawdziwe cyfry są te co mówię i one mi wystarczają... Tego wieczora, ręczę ci, że matka będzie uszczęśliwioną... bo w gruncie rzeczy, czegoż ona życzy sobie dla mnie? Tego, co wszystkie dobre matki pragną dla swoich synów, szczególnie dla tych co szaleństw już dosyć narobili... Bogatego ożenienia, albo jakiego dyskretnego stosunku w wielkim świecie. Znajdę w Longuevalu obie te kombinacye i chętnie przystanę na jedną lub na drugą. Będziesz tylko tak dobry i za dziesięć dni mnie uprzedzisz... Powiesz którą mi zostawiasz: panią Scott czy miss Percival...

— Musiałeś chyba zwaryować! Ależ ja nie myślę i nigdy myśléć nie będę ani o...

— Słuchaj Janie, ty jesteś uosobionym rozumem i mądrością nawet, zgadzam się na to, ale to wszystko na nic się nie przyda... słuchaj i dobrze zapamiętaj co ci powiem: Janie ty się zakochasz w tym domu.

— Nie sądzę — śmiejąc się Jan odpowiedział...

— A ja, jestem tego pewny... Dowidzenia! zostawiam cię twoim zajęciom.

Jan, tego poranku był zupełnie szczerym. Tej nocy spał dobrze i spokojnie. Drugie widzenie się z obu siostrami, rozproszyło jakby czarodziejstwem, lekkie zamieszanie, które za pierwszem ich poznaniem było zakłóciło spokój jego duszy. Przygotowywał się do spotkania ich znowu i przepędzenia kilku godzin w ich towarzystwie, z wielką przyjemnością wprawdzie, ale też i z wielkim spokojem. Zanadto dużo pieniędzy było w tym domu, ażeby miłość ubogiego człowieka, uczciwe miejsce znaleźć w nim mogła.

Przyjaźń, to co innego. Z całego serca życzył sobie i ze wszystkich sił chciał pracować, ażeby szacunek i spokojną przychylność w sercu tych dwóch kobiet wyrobić sobie. Postara się nie zwracać wielkiej uwagi na piękność Suzie i Bettiny, postara nie zapominać się więcej, tak jak wczoraj, w kontemplacyi tych czterech nóżek, wyciągniętych na dwóch ogrodowych taburecikach. Powiedziano mu kardzo szczerze, bardzo serdecznie: „Będziesz naszym przyjacielem.” Otóż i wszystko czego mógł żądać, być ich przyjacielem! I będzie nim!

Wszystko, przez całe dziesięć dni następnych, sprzysięgło się aby ułatwić sukces tego postanowienia. Suzie, Bettina, Jan i proboszcz, cały swój czas razem spędzali, w najściślejszej i pełnej zaufania poufałości. Obie siostry wraz z proboszczem, odbywały co rano długie przejażdżki powozem, a po południu, z Janem, jeszcze dłuższe konne spacery.

Jan nie starał się już analizować uczuć swoich; już nie stawiał sobie pytania, czy skłania się ku prawej czy ku lewej stronie. Dla obu tych kobiet uczuwał jednakie przywiązanie, gotowość do jednakich poświęceń. Zupełnie był szczęśliwym, zupełnie spokojnym. A więc zakochanym nie był gdyż miłość i spokój, bardzo rzadko zgodnie w jednem sercu żyją.

Jednakże z pewnym smutkiem i niepokojem Jan widział zbliżający się dzień ów, w którym do Longuevalu napłynąć mieli Turnerowie, Nortonowie i cała fala kolonii amerykańskiej. Dzień ten nadszedł szybko.

W piątek, 24 czerwca, Jan o godzinie czwartej przybył do zamku. Bettina go przyjęła widocznie zmartwiona.

— Jakaż przykrość! — rzekła na wstępie — siostra moja cierpiąca. Wprawdzie nic strasznego, migrena tylko, ale w łóżku leży. Jutro i śladu nie będzie; tymczasem ja sama nie śmiem z panem wyjechać na spacer. Tam, w Ameryce, toby uszło, ale tu, wszak nie uchodzi?

— O! i bardzo! — odpowiedział Jan.

— Co gorzej, że muszę pana pożegnać, a to mi wielką przykrość sprawia.

— I mnie też jeszcze większą, bo stracę ten dzień ostatni, który myślałem, że z paniami przepędzę. Jednakże, kiedy tak potrzeba!... Jutro przyjdę dowiedziéć się przynajmniej o zdrowie pani Scott.

— Sama podziękuje panu. Ale powtarzam, że to nic nie jest, czasami cierpi migreny, lecz te prędko przechodzą. Jednak proszę, nie odchodź pan tak prędko. Udziel mi pan choć kwadransik czasu na rozmowę. Mam coś do powiedzenia. Siadaj pan tu... a teraz proszę słuchać uważnie. Miałyśmy, Suzie i ja, zamiar, posadzenia pana po obiedzie w kąciku salonu i wtedy siostra byłaby głos zabrała, powiedziałaby to, co ja teraz, w mojem i jej imieniu, sprobuję wypowiedziéć... Nie śmiej się pan, to rzecz bardzo poważna. Chciałyśmy obie podziękować panu za to, że od chwili naszego przyjazdu, byłeś dla nas tak dobry, tak uprzejmy, tak pełen poświęcenia, tak...

— Ależ pani! proszę, błagam! wszakże to ja powinienem...

— Nie przerywaj mi... zmieszasz mnie pan tylko... i nie wybrnę z tego... Zresztą, upieram się przy tem, że nie panu, ale nam należy podziękować. Przyjeżdżamy tu jak dwie cudzoziemki. Doświadczyłyśmy wielkiej radości znajdując zaraz na wstępie dwóch przyjaciół... tak jest, przyjaciół. Pan wziąłeś nas za rękę.. prowadziłeś do naszych dzierżawców, do naszych leśniczych, oprowadzałeś po całym majątku, ucząc nas wszystkiego, podczas gdy zacny proboszcz woził nas do swoich ubogich, do swych chorych... i wszędzie widzieliśmy jak pana kochają, jaką ufność w nim mają, to też, za pańskiem wdaniem się i nas poczęto kochać trochę... Ubóstwiają pana w tym kraju, czy wiesz o tem?

— Tu się zrodziłem. Ci poczciwi ludzie znają mnie od dzieciństwa i wdzięczni mi są za to co mój dziad i ojciec dla nich czynili. A potem... jestem z tej samej rasy, z rasy chłopów. Mój pradziad był wieśniakiem i uprawiał ziemię w Bargecourt, wiosce ztąd o dwie mile położonej.

— I pan dumnym jesteś z tego?

— Ani dumnym, ani upokorzonym.

— Przepraszam... bo miałeś pewien odcień dumy w swym głosie! A więc ja odpowiem panu, że pradziad mojej matki był dzierżawcą małej fermy w Bretanii. Wyemigrował do Kanady w końcu przeszłego wieku, kiedy Kanada jeszcze do Francyi należała... I kochasz go pan bardzo, ten kraj w którem się rodziłeś?

— Bardzo. A może wkrótce będę musiał go opuścić.

— A to dlaczego?

— Kiedy awans otrzymam, poszlą mnie zapewne do innego pułku i przechodzić będę z garnizonu do garnizonu... ale niezawodnie, kiedy zostanę komendantem albo starym pułkownikiem w odstawce, wrócę aby żyć i umrzéć tu, w małym domku mojego ojca.

— Zawsze sam?

— Dlaczegoż sam!... Spodziewam się, że nie...

— Masz więc ochotę ożenić się?

— Zapewne.

— I szukasz żony?

— O nie... Można myśléć o ożenieniu, ale nie należy starać się o ożenienie.

— Są jednak ludzie, którzy starają się i szukają... wiem coś o tem... a nawet... wszakże chciano już pana ożenić?

— Jakże pani wie o tem?

— O! ja znam dobrze wszystkie pańskie drobne sprawy!... Jesteś pan tem co nazywają *dobrą partyą*... i powtarzam, że chciano pana ożenić.

— Kto pani mówił o tem?

— Ksiądz proboszcz.

— Proboszcz źle zrobił — odpowiedział Jan z pewną żywością.

— Nie, nie! wcale źle nie zrobił. Jeżeli kto zawinił, to ja tylko, a winną jestem przez miłosierdzie, a nie przez płonną ciekawość, na to przysięgam. Odkryłam, że ksiądz proboszcz nigdy tak szczęśliwym nie jest, jak kiedy z nim mówi się o panu, wtedy ja, kiedy bywam z nim sama, z rana, podczas naszych spacerów czy przejażdżek, ażeby mu sprawić przyjemność, rozmawiam z nim o panu, a on mi opowiada pańskie dzieje. Pan majątkowo masz się dobrze, bardzo dobrze... odbierasz od rządu dwieście trzynaście franków na miesiąc... i coś tam jeszcze centymów... Czyż nie tak?

— Tak jest — rzekł Jan z uśmiechem, zdecydowany w żart obrócić niedyskrecyą proboszcza.

— Masz swoich ośm tysięcy franków dochodu.

— Prawie tyle, coś tam brakuje.

— Dodawszy do tego dom wartujący ze trzy-

dzieści tysięcy franków, jesteś w świetnem położeniu i już proszono o rękę pana.

— Co też pani mówi!... nie! nie!

— Ależ tak! tak!... I to dwa razy.. lecz odrzuciłeś dwie bardzo piękne partye, dwa piękne posagi, jeśli tak wolisz. Dla wielu ludzi to jedno! Dwakroć sto tysięcy franków z jednej strony, trzykroć z drugiej. Podobno w tej okolicy to bardzo wiele! A więc nie chciałeś? Powiedz mi dlaczego? Żebyś wiedział jak jestem ciekawa!

— A więc szło tu o dwie panny bardzo miłe...

— To wiadome! tak zawsze się mówi.

— Ale które ja zaledwie znałem. Zmuszono mnie, bom się opierał, zmuszono mnie do przepędzenia w ich towarzystwie dwóch czy trzech wieczorów, przeszłej zimy.

— A wtedy?

— Wtedy, nie wiem doprawdy jak pani to wytłomaczyć, nie doznałem żadnego uczucia niepokoju, pomieszania, wzruszenia...

— Nareszcie — rzekła śmiało Bettina — najmniejszego cienia miłości?

— Właśnie, najmniejszego... i bardzo spokojnie wróciłem do mego kawalerskiego kącika, bo myślałem i myślę, że lepiej nie żenić się wcale, jak żenić się bez miłości. Takie moje zdanie.

— I moje także.

Ona patrzyła na niego, on patrzył na nią. I nagle, ku wielkiemu zdziwieniu ich obojga, nie znaleźli nic więcej do powiedzenia, ale to nic zgoła.

Na szczęście, w tejże chwili, Harry i Bella, z wielkiemi krzykami radości, wpadli do salonu.

— Panie Janie! panie Janie! Ach! jak dobrze, że pan tutaj! chodź zobaczyć nasze koniki.

— Ach! prawda — odezwała się Bettina głosem niepewnym, zapomniałam że Edward wrócił w tej chwili z Paryża i przyprowadził dla dzieci dwa poneye mikroskopijne. Chcesz, chodźmy je zobaczyć.

Poszli obejrzéć koniki, które na prawdę, godnie figurować by mogły w stajni króla Liliputów.

(*D. c. n.*)

DO ALGIERU
przez Hiszpanią i Maroko.

Przez

T. VERNES d'ARLANDES.

Przekład

J. Belejowskiej.

(Dalszy ciąg.)

XI.

GRENADA.

I.

Z Tangeru powróciliśmy do Gibraltaru, zkąd przez Malagę udaliśmy się do Grenady i Alhambra. W wyobraźni wielu turystów, dwie te nazwy streszczają całą Hiszpanię. Jest to zarazem historya i fantazya, dramat i złote marzenie.

Prowadząca do nich kolej idzie bardzo wolno, w tym jednak razie ma to swoją dobrą stronę, dozwalając podróżnikowi czytać, robić notatki, przypatrzéć się okolicznym krajobrazom i wieśniakom przybranym w swój strój tradycyonalny. Dobrzy ci ludziska zatrzymują się, aby widziéć powolnie przesuwający się pociąg, uważany dotąd przez nich za dziwaczny i śmieszny wynalazek.

Najpierw widzimy łany zwyczajnego zboża i rozległe pola trzciny cukrowej, dalej szarawe popielatawe skały a po za niemi wysokopienne lasy pomarańczowe, połyskujące rumianemi owocami, jak gdyby najgorętsze promienie słońca, ześrodkowały się po nad tą uprzywilejowaną krainą.

Na wzgórzach sąsiednich uwieńczonych ruinami pałaców maurytańskich porozrzucane są prześliczne wille, a w dali po za niemi widać groźne skały, godne pendzla Salvatora Rosa. Patrząc na wszystkie piękne zabytki pozostawione tu przez Arabów żałować trzeba, że Kastyllanie byli dość silni, aby ich pokonać i wydalić, gdyż koniecznie się zdaje, iż gdyby Maurowie pozostali panami tego grodu, który tak pięknym i bogatym uczynili, zyskałaby na tem bardzo wiele malowniczość i rozmaitość, jeźli już nie cywilizacya nasza, tak potężna, ale i tak prozaiczna!

II.

Nareszcie widziałem Alhambrę! długo żywione marzenie zamieniło się w rzeczywistość, czy tylko rzeczywistość odpowiedziała marzeniu?

Wyobraźnia przedstawia nam Alhambrę jako okaz sztuki budowniczej, w którym poezya wyższą jeszcze niż architektura odgrywa rolę, jako jeden z tych cudów przybierających w umyśle mniej więcej fantastyczne, prawie nieprawdopodobne kształty, jako utwór w którym majestatyczność, szlachetność i przepych tę wielką posiadają zaletę, ze najzupełniej różni się od wszystkiego co znamy.

Z wewnątrz gmachowi temu zbywa na wspaniałości; wysokie prawie bez otworów, nie przemawiają ani do oczu ani do umysłu. Już daleko wymowniejsze jest wnętrze, wrażenie sprzeczności potęguje inne. Wszystko tu bardzo ładne, śliczne, ale ani wzniosłe ani imponujące.

A teraz jak tu opisać to co tylokrotnie odtwarzali malarze i poeci, a jednak dokładnego pojęcia dać nie zdołali? to też opiszę tylko to co mnie najwięcoj uderzyło. Obejrzawszy w pałacu wiele bardzo zajmujących rzeczy, przeszliśmy na sławny dziedziniec Lwów, gdzie ześrodkowały się wszystkie wielkie wspomnienia Alhambry. Otoczony jest portykami i ozdobiony dwoma symetrycznemi pawilonami, wspartemi na kolumnach z białego marmuru, ośm do dziesięciu stóp wysokiemi. Łukowate portyki są tak artystycznie cizelowane, iż przypominają cuda z Tysiąc Nocy jedna. Lwy tylko są bardzo źle odrobione, ale symboliczne te zwierzęta muszą być wykonane przez cudzoziemców, gdyż Arabowie zachowywali zawsze ścisle prawo Koranu, nie dozwalające odtwarzać postaci ludzi ani zwierząt.

Z kolei zwiedziliśmy salę Abenceragów, gdzie pokazują mniemane ślady ich krwi, salę sądów, ozdobioną malowaniami przypisywanymi Maurytanom, które jednak zdają się być późniejsze, najwyższą i największą jest sala ambasadorów, owalne sufity tych salonów wyrobione są z drzewa cedrowego, inkrustowane perłową konchą i kością słoniową. Całe ściany bogato rzeźbione, w miejscach wypukłych złocone, w zagłębieniach pomalowane żywemi barwami. Tu i owdzie zachowały matowe tło kremowe, nadające delikatnemu rysunkowi pozór skamieniałych koronek. Wśród tych wszystkich ozdób przebijają sentencye i maksymy z koranu. Wszystko tu przechowało oryginalną fantazyę wschodnią. Niektóre części są mniej więcej szczęśliwie odrestaurowane; jeźli całość nie przedstawia się w całym pierwotnym przepychu i blasku, pozostała przecież taką prawie jak ją pozostawił Boabdil.

Rozpatrzywszy się w tych arcydziełach sztuki maurytańskiej, zdradzających cywilizacyę całkiem różną od naszej, widzimy w nich jasny dowód wielkich bogactw nabytych przez Andaluzyę, wytwornych rozpowszechnionych w niej obyczai i zwyczajów, oraz wysokiego rozwoju nauk i umiejętności.

Podziwiając niewysłowiony ich urok, żal nam tego ludu, który po tylu wiekach pomyślności i chwały, zniewolony został opuścić ziemię, którą ozdobił swemi pomnikowemi gmachami i wzbogacił swoim geniuszem.

Gdy Boabdil, ostatni król Grenady, zmuszony był opuścić królestwo swych naddziadów, zatrzymał się u stóp góry Padul. Z tego wyniesienia można było widzieć morze, którem nieszczęsny monarcha miał odpłynąć do Afryki, a z drugiej strony Grenadę, Vegę, Henil, nad brzegiem którego wznosiły się namioty Ferdynanda i Izabelli. Na widok tego uroczego kraju i cyprysów osłaniających jeszcze tu i owdzie grobowce muzułmanów, Boabdil rzewnemi zalał się łzami. Matka jego sułtanka Aisa, towarzysząca mu na wygnanie wraz z dostojnikami dawniej dwór jego składającymi, rzekła mu wtedy: „Płacz teraz jak kobieta nad utratą królestwa, którego jak mąż bronić nie umiałeś.” Zeszli z góry i na zawsze już Grenadę stracili z oczu.

Wychodźcy przenieśli do Afryki, do nowej swojej ojczyzny, wspomnienie utraconej a tak ukochanej. Raj Grenady żył zawsze w ich pamięci, matki dzieci przy piersi uczyły jego nazwy. Usypiały je śpiewkami Zegris'ów i Abencerag'ów. Co pięć dni modlono się w meczetach, zwracając twarze ku Grenadzie, błagając Allaha, aby powrócił ten raj ziemski swoim wybrańcom. Daremnie nowy kraj przedstawiał wygnańcom swe owoce, wody, swe jasne słońce, z dali od dawnych siedzib, owoce ich nie nęciły, fontanny nie wydawały się przejrzyste, murawy nie dość zielone i świeże, na słońce nawet niewarto było patrzéć. Gdy któremu wygnańcowi wskazywano równiny Badraga, wstrząsał głową mówiąc z westchnieniem: „Grenada”.

Przechadzając się pod portykami Alhambry, zdaje nam się, iż spostrzegamy wielką postać Abd-er-Rahmana, tego Kalifa za którego cywilizacya arabska dosięgła swego szczytu. Wyobraźnia stawia nam przed oczy owe turnieje, na które książęta chrześciańscy zapraszali królów maurytańskich, którzy przybywali w swych świetnych strojach, równie świetnym otoczeni orszakiem, oraz uroczystości, jakie wyprawiała na cześć kwiatu chrześciańskiego rycerstwa, na których Maurowie i Kastylianie, przesadzali się odwagą i wspaniałym przepychem.

Maurowie obdarzeni zmysłem daleko praktyczniejszym niż możnaby to wnosić z kontemplacyjnego usposobienia tegoczesnych ich potomków, nietylko wnosili przepyszne pałace, tak doskonale urządzone, iż mogli używać klimatu południowego i zarazem uniknąć jego niedogodności, ale nadto ustanawiali nader pożyteczne instytucye i zakłady, które po dziś dzień dotrwały. Zwiedzając miasto zwróciłem uwagę na budynek regularny, prostokątnie poprzecinany wązkiemi uliczkami, wyłożonemi szerokiemi płytami, w pośród których urzą-

dzony jest odkryty kanał dla bieżącej wody, o czem Arabowie nigdy nie zapominają. Budynek ten, ozdobiony eleganckiemi arkadami i arabeskami, przeznaczony był na targ towarów jedwabnych; Maurytanie z Afryki przybywali tu nabywać piękne wyroby fabryk grenadzkich. Targ ten istnieje dotąd, tylko nie jest tak świetnym jak dawniej; mówiono mi, że zachowano po dziś dzień dawne obowiązujące go przepisy.

Wiadomo także, iż system nawodniania stanowiący o bogactwie *huertas* Grenady, Malagi, Walencyi i wielu innych miast, pochodzi w zupełności od Maurów i zaraz w początkach tak okazał się zbawiennym, iż dotąd utrzymuje się niezmiennie. Inny znów zwyczaj dający nam poznać charakter tego ludu; Maurowie uczyli się medycyny, aby, gdy po skończonej wojnie złożą oręż do pochwy, mogli oddawać się doglądaniu rannych wojowników. Za naszych czasów powstały różne, formą ale jednakim ożywione duchem, chrześciańskie stowarzyszenia Czerwonego Krzyża.

Chcąc powziąć dokładne pojęcie planu Alhambry, dziwnie rozłożonych jakby pasem opasujących go wieżyc i czerwonawych bardzo latami uszkodzonych murów, trzeba patrzeć z belwederu, skąd także doskonale można widzieć miasto i całą okolicę. Tu dokładnie można sobie zdać sprawę z niepowrotnej krzywdy wyrządzonej cudnemu pałacowi królów maurytańskich przez Karola V, dwakroć winnego przestępstwa wandalizmu: najpierw wydaniem rozkazu zniszczenia meczetu w Kordubie, szczęściem nie dokonanego w zupełności; następnie zniszczeniem części Alhambry dla zbudowania pałacu, który, jakby na ukaranie go nie był nigdy skończony, a zgliszcza świadczą dotąd o jego wielkości i barbarzyństwie zarazem.

Katedra nie przedstawia nic nader godnego widzenia; w niej znajdują się groby wielkich wrogów Maurów, Ferdynanda i Izabelli, oraz Joanny Szalonej i Filipa Pięknego. Rzeźby zdobiące te grobowce nie mają równych sobie.

Następnie zwiedziliśmy Kartuzyą, bogactwem i mozajkami przypomina klasztor Kartuzów w Pawii. Obok szczegółów prześlicznie artystycznie wykończonych, psuje całość zbytnie przeciążenie ozdobami wątpliwego smaku. Jak w wielu kościołach hiszpańskich, pełno tu jest figur z drzewa, malowanych, przedstawiających świętych skutkiem przesadzonego ascetyzmu, zamienionych niemal w szkielety, lub też męczenników w ekstazie podczas męczarni, ale realizm posunięty do ostateczności, tak, że zamiast budzić pobożne wrażenie i skupienie ducha, przejmuje zgrozą i we śnie nawet straszyć może.

Zwrócono uwagę naszą na piękne ramy i odrzwi szyldkretowe, inkrustowane perłową konchą i kością słoniową, roboty dawnych zakonników, będące dziełem niezmordowanej wytrwałości i pracy.

Będąc w Grenadzie, nie można nie zwiedzić siedzib osiadłych tam cyganów. Jest ich tu przeszło sześć tysięcy, zamieszkują wzgórza po za miastem, kryjąc się pod skorupą ziemską jak mrówki w swoich mrowiskach. Gdy po zwiedzeniu okolicznych pałaców, zstępujemy do tych nędznych schronień, mamy sposobność w jednej chwili zmierzyć odległość dzielącą cywilizacyę od barbarzyństwa, czyli raczej najwyszukańszy zbytek od krańcowej prostoty i stwierdzić jak nizko upaść może człowiek zdolny, wznieść się tak wysoko i być zadowolnionym z takiego stanu. Zeszliśmy do kilku takich nor wykopanych w ziemi, w głębi których człowiek-zwierzę przesiaduje z całą rodziną i urządziwszy sobie pomieszkanie nic go nie kosztujące i mające tę wyższość nad pomieszkaniami zwyczajnemi, że jest ciepłe w zimie a chłodne w lecie. Nie ma prawie kraju w którym nie pojawiłyby się bandy cyganów, tych włóczęgów nie mających ojczyzny, ale tu żyje ich gromadnie kilka tysięcy. Jest to więc liczny odłam tego tajemniczego ludu, przybywającego nie wiedzieć zkąd i jak, a który po dziś dzień zachował tak swój typ nader charakterystyczny, jako też, pomimo takiego poniżenia wysoką o sobie opinię.

W lochach wydrążonych w ziemi pod korzeniami wysokich drzew i dzikich roślin, których woń aż do nas dochodziła, znaleźliśmy całe rodziny cyganów kręcące się tam prawie w ciemności, a jednak postacie ich tchnęły zdrowiem i zdawali się najzupełniej zadowolnieni ze swego losu.

Wdaliśmy się w rozmowę z jednym ze starszyzny. Gdyby mu wierzyć drużyna jego jest wzorem wszelkich cnót. W twarzach ich widnieje duma, ruchy odznaczają się pewną szlachetnością, w palących czarnych źrenicach nie przebija zawiść. Czyżby ludzie ci odkryli tajemnicę długiego i szczęśliwego życia, który daremnie poszukują bogacze i filozofowie?

Cyganie uchodzą w Andaluzyi za najlepszych tancerzy; na żądanie nasze urządzono przedstawienie. *Muchacho* zaczął poruszać struny mandoliny, grupa sformowała się niebawem. Od dziewcząt ek do matek, wszyscy przyjęli udział w tańcu. Z początku jest to jakieś jakby słabe kołysanie; powoli tancerze zaczynają poruszać nogami, daje się słyszeć ostry dźwięk kastaniet: ruchy i kołysanie stają się żywsze, zgodnie z prędszem lub powolniejszem tępem, nie przechodząc nigdy w trywialność lub nieprzyzwoitość. Pozy tancerzy tchną jakąś szlachetnością, postawa i ruchy tancerek zalecają się wdziękiem i pewną godnością. Śpiewy kończące przedstawienie zdradzają tęskną i namiętną melodyą wschodnią, połączoną z jakiemś dzikiem natchnieniem. Zachowały one cechę swego pochodzenia; język, obyczaje i instytucye Arabów, z małym wyjątkiem, zaginęły w Hiszpanii, ale śpiewy ich pozostały dotąd popularne, niby odległe echo minionych wieków.

Mówiono mi, że hiszpańscy Cyganie zachowują się odpowiednio pojęciu o szlachetności swego pochodzenia. Wprawdzie niekiedy zajmują się szczególniejszemi sprawami i zdaje się mają pewną skłonność do złodziejstwa, ale dopuszczają go się tylko względem cudzoziemców, a zatem z dobrodziejstwem okoliczności łagodzących.

(*D. c. n.*)

Przegląd Teatralny.

Straduję, komedya w 1-ym akcie, pani *Mellerowej*. **Zawierucha**, komedya w 1-ym akcie, pana *Koziebrodzkiego*.

Dziś mamy do ocenienia dwie jednoaktówki, które jako niby nowe, po raz pierwszy ukazały się na scenie Teatru Rozmaitości. Pierwsza z nich, pióra utalentowanej autorki „Fałszywych blasków", „W Alpach", „Dwóch miar" i t. d., jedynej kobiety, której utwory dramatyczne z powodzeniem są grywane, do rzeczywiście nowych należy; gdy druga odnosząca się do młodocianych prób autora, który następnie wyrobił się znakomicie na polu dramatycznem, już od lat kilkunastu znana jest ze scen ogródkowych i teatrów amatorskich, do których szczególnie się nadaje.

Obecnie pojawiające się jednoaktówki i inne mniejszych rozmiarów komedyjki, po większej części są tylko rodzajowemi obrazkami mniej więcej udatnemi. Do takich należy „Straduję". Treść jej następująca: wioskowy obywatel, nieźle się mający, prędki i niecierpliwy z natury, a miękkiego serca, przyjeżdża z wełną do Warszawy. Sprzedaż jej nie pomyślnie idzie, co rzecz prosta, w zły humor go wprowadza, przytem wyszukiwanie dawnego dłużnika, byłego sąsiada i współobywatela któremu w ostatniej ruinie 1,000 rs, pożyczył, nie lepiej go usposabia, gdy wdrapawszy się z trudnością po 108 schodach, znajduje się w jego mieszkaniu, przekonywa się, że jego dłużnik wraz z żoną walczą z nędzą, aby jako tako wyżyć i dać lepsze wychowanie dwom synkom. Jednakże pomimo tego, szlachcic zawzięty a w dodatku głodny; sam sobie ducha dodaje i przyrzeka bądź co bądź, mając na pamięci napomnienia żony, której oczywiście boi się i ulega, odebrać swoje pieniądze, choćby za pośrednictwem komornika, powtarzając uparcie groźne słowa: „Straduję! jakiem Jacenty Ślepowroński!" Nie zastawszy nikogo, odgryza się na ekonomie, który z nim przyszedł, wybornie nakreślonym i który długo służąc u jednego pana, zżył się z nim i w części przejął się jego charakterem. Służąca Joasia, opowiada p. Jacentemu o smutnem położeniu swych państwa i ich ciężkiej pracy, a następnie wypłasza go strasząc ospą, która w domu jakoby się rozgościła. Przestraszony szlachcic ucieka, lecz na schodach spotyka się ze swym dłużnikiem p. Wierżgalskim i wraca na zapewnienie, że ospa jest wymysłem Joasi. Prośby biednego Wierzgalskiego, przedstawienie smutnego położenia w jakiem się znajduje, nic nie pomagają, uparty szlachcic na krok nie ustępuje. Dzieci wracają ze szkoły, Ślepowroński przekonywa się zdziwiony, że starszy z nich, który za 10 miesięcy mieć będzie lat 13, już parę rubli zarabia za korepetycye i dopomaga rodzicom. To go tak rozczula, że zapomina już o swoim długu. Ale widok i smak biednego obiadu na którym występuje zupa grochowa *bez wędzonki*, do reszty go rozbraja. Nie tylko sam ofiaruje prolongatę chociażby najdłuższą, ale jeszcze chłopakom daje cichaczem po kilkadziesiąt rubli, zamawiając u nich korepetycye dla swego malca, gdy go do szkół przywiezie.

Obrazek dramatyczny pani Mellerowej bardzo jest ładny i sympatyczny i z wielką przyjemnością nań się patrzy, tyle z niego poczciwości i prawdy wieje, tak wybornie i z istotnym talentem schwycone są i przed oczy widzów przedstawione nasze swojskie typy, szlachcica niecierpliwego, łatwo się unoszącego, bojącego się żony, lecz w rzeczach ważniejszych buntującego się przeciw domowemu despotyzmowi, a poczciwego do szpiku kości. Ma on też i swoje wady: lubi zjeść i wypić dobrze, nawet ładna twarzyczka go nęci, jak tego dowodzą umizgi do Joasi, słowem jest to osobistość żywcem z życia wzięta. Toż samo należy powiedzieć i o Barnabie, jego ekonomie, oraz o zubożałym Wierzgalskim, który zmuszony prosić się swego wierzyciela, prosi gorąco lecz z całem zachowaniem swej godności. Te trzy główne postacie wyborowych znalazły przedstawicieli w p. Ostrowskim (Ślepowroński), p. Waliszewskim (Wierzgalski) i w p. Galasiewiczu (Barnaba). Pierwszy zwłaszcza, nie schodząc ze sceny, dźwigał na sobie

całą sztukę, a oczy widzów ciągle miały przed sobą po mistrzowsku stworzoną rolę. Rozczulając się nad pracowitemi chłopakami i namiętnie ich całując, nie może jednak zapomnieć, że *grochówka bez wędzonki* nic warta i serdecznie nie żałować tych co ją tak jeść muszą.

Komedya p. Koziebrodzkiego „Zawierucha", nie pokazuje nam żadnych wybitnych typów i mało zawiera treści, jest bluetką zgrabnie i elegancko napisaną, bardzo się nadającą do gry salonowych amatorów. Silna zawieja śnieżna zapędza dwóch młodych ludzi, panów Edmunda i Edwarda, do nieznajomego im domu, w którym przebywają dwie młode panie: Emma i Wanda. Los posłużył zbłąkanym, bo pokazało się, że Edward jest krewnym Wandy, a Edmund i Emma kochali się przed kilku laty i ten wyznanie swej miłości przesłał jej w pięknym wierszu. Lecz też same wiersze i jego ręką pisane, Emma znalazła w albumie innej kobiety; przyjęła to jako dowód brzydkiej zdrady i oburzona, czemprędzej za pierwszego zamąż wyszła, nie chcąc słuchać żadnych tłomaczeń. Teraz zaś, gdy już jako wdowa spokojnie mieszka na wsi, zawierucha najniespodziewaniej sprowadza do jej domu zawsze bolejącego po jej stracie Edmunda. Oczywiście następują wyjaśnienia, z których się pokazuje, że to Edward trzpiot lekkomyślny, znalazłszy na biórku przyjaciela wiersze gotowe, nie przepisawszy ich nawet, ofiarował je za swoje jakiejś pani w której się wtedy kochał. Po takiem wyjaśnieniu całego zajścia łatwo przewidzieć rozwiązanie. Śnieżna zamieć staje się przyczyną szczęścia Emmy i Edmunda, którzy o sobie zapomnieć nie mogli.

Gra wszystkich artystów do sztuki wchodzących pani Lebrun i panny Czaki (Emma i Wanda), oraz panów Prażmowskiego i Wolskiego (Edmund i Edward), nic nie pozostawiała do życzenia, odznaczając się szlachetną elegancyą, odcieniem dramatycznem i uczuciowem w parze zakochanych a lekkością w grze kuzynów Wandy i Edwarda.

Hieronim Kuczalski.

POGADANKA.

Długo oczekiwany mróz zawitał w całej pełni. Nam co w ciepłych pokojach zapominamy o zimnie, nie przeszkadza to do ochoczych zabaw. Karnawał krótki, więc nie ma chwili do stracenia. Trzeba się bawić i bawić dobrze, aby było o czem mówić przez cały post wielki. A tymczasem dla wielu i karnawał jest postem z chłodem dotkliwym. Że tak jest istotnie świadczą przytułki nocne w Warszawie, które w ostatnich dniach były przepełnione.

Szczęśliwi biedni, że choć na noc znajdują schronienie.

Nędza pogrąża w rozpaczy, a z tej nic dobrego się nie rodzi. Biedni, podwójnie są biedni. I sami o własny byt bardzo troszczyć się muszą i dziatwy wychować jak należy nie mogą. To największe złe, co dnia widzimy pauprów ulicznych, zaniedbanych moralnie, że na ich widok aż serce się kraje. A jest ich zbyt wielu, aby towarzystwa filantropijne mogły o wszystkich pamiętać, wszystkich zaopatrzyć, wszystkim byt moralny zapewnić.

Usiłowania zacne spotykamy co krok, z uznaniem tylko o nich mówić należy.

Ciemnota moralna sama przez się wielkiem jest złem, skutki jej jeszcze gorsze. Zapobiegać jednemu i drugiemu obowiązkiem wielkim.

Nie możemy się użalać na obojętność ogółu pod tym względem.

Do instytucyi dotąd istniejących przybyć mają nowe. Oto kilka projektów, które jest nadzieja, że nie upadną.

Jeden z zamożnych mieszkańców Warszawy, człowiek bezdzietny, chce owoc swych długoletnich zabiegów na bardzo szlachetny cel obrócić.

Zastanawiał się widocznie długo nad losem tych nieszczęśliwych, którzy wychowani w ciemnocie i zepsuciu moralnem kroczyli po drodze występku. Prawo nie pyta o ostateczną przyczynę złego, lecz karze występek, jak na to ostatnie zasługuje.

Społeczeństwo wszakże na tem nie poprzestaje. Jego obowiązkiem jest pytać o ostateczną przyczynę złego, wyszukać ją i usunąć. I oto do jakich rezultatów doprowadziły te badania.

Zgodzono się ogólnie, że powodem każdego przestępstwa jest złe wychowanie.

Są wprawdzie wypadki, w których najstaranniejsza opieka nie zabezpiecza od złego, lecz to należy do wyjątków. O tej prawdzie pamiętając, zakrzątano się około szerzenia moralności i zaopiekowano się moralnie zaniedbanymi.

Lecz jest jeszcze druga kwestya. Oto mamy przed sobą człowieka, który dopuścił się zbrodni czy występku. Prawo go karze. Może go ten wyrok sprawiedliwości skruszył, może mu przyniósł chęć upamiętania się, poprawy. Po odsiedzeniu kary w więzieniu, odzyskuje skruszony winowajca wolność. Swoboda go upaja. Oddycha radośnie pełną piersią, garnie się do świata, do ludzi, pragnie nowego życia i... spotyka się z niewiarą społeczeństwa, które mu nie chce zapomnieć winy. W wielu wypadkach nie myli się, lecz w wielu razach odepchnięty, bez środków do życia zaraz w pierwszych dniach, nie widzi innej drogi przed sobą jak... występek.

Dawniej robił źle z niewiadomości, dziś mści się na społeczeństwie, które mu nie dało możności zrehabilitowania się. Raz utracona cześć popycha często do nowych zbrodni.

Wobec tego, zaopiekowanie się więźniami, którzy swe kary odbyli, jest kwestyą niezmiernie ważną. Energiczne i umiejętne zajęcie się nimi może wydać dla społeczeństwa pomyślne owoce.

Nie będziemy w tej pracy pierwsi, więc nie potrzebujemy się obawiać zawodów. W Anglii poszukują robotników, którzy poprzednio odbyli karę w więzieniu. Przez czas bowiem odsiadywania kary uczą rzemiosł, umoralniają i po uwolnieniu rozciągają jeszcze nad byłym więźniem opiekę.

Dajmy chcącym się poprawić winowajcom możność pracy, zachęcajmy ich do niej, nie odsuwajmy ich jak parjasów, a przyczynimy społeczeństwu dobrych, gorliwych pracowników.

Otóż powyżej wspomniany zapis ma służyć na taki właśnie cel. Oby rzecz cała nie pozostała tylko projektem.

Inne warstwy znajdują także opiekunów.

Dla dobra ludu pracuje wielu gorliwych a cichych obywateli. Popierają szkółki, rugują złe nałogi, a już najgorliwiej występują przeciwko pijaństwu. W tych zamiarach wielką oddają przysługę gospody chrześciańskie. Liczba ich w kraju rośnie, a wraz z nią błogie skutki.

Prócz Lubelskiego towarzystwa dobroczynności, a nawiasem mówiąc Lubelskie bardzo się żywo krząta około wszystkiego co dobre, p. Roman Okulicz Kozaryn, zamierza w swym majątku założyć szkołę dla oficyalistów folwarcznych. Statut już gotowy, do wykonania zamiaru wcale nie daleko. Szkoła ta ma najszlachetniejsze dążenia, bo kształcenie oficyalistów, o których dotąd zapominano. Bo nie dość dać oficyaliście chleb, lecz trzeba go podnieść w jego duchu!

Inny jeszcze projekt wywołały cienie ś. p. Jastrzębowskiego.

Dla uczczenia pamięci zasłużonego profesora postanowiono wznieść pomnik nad mogiłą. Otóż wyczytaliśmy w jednem z pism projekt, który jest prawdziwym dziwolągiem. Niefortunny projektowicz radził, ażeby na pomnik rozpisano konkurs, aby powołano najpierwsze siły artystyczne i t. p. Sprawa zatem poszłaby na długie aż do znudzenia narady. Nie postanowiono wznieść nad mogiłą zmarłego pomnika olbrzymiej wartości materyalnej i artystycznej. Ma to być pamiątka, jak uczniowie kochają i cenią swego mentora.

Ś. p. Jastrzębowski godniejsze znajdzie uczczenie w innym pomniku. Kamień grobowy i tablica w kościele należą mu się, jako ślady ziemskich szczątków, jego zaś duch odżyje w wykonaniu szlachetnego zamiaru, który w tych dniach powzięto. Oto postanowiono zebrać fundusz na założenie „szkółki rolniczej" jednej, albo i więcej. Szkółki te były marzeniem zmarłego.

W ich założeniu i rozszerzaniu będzie najwyższe uznanie dla jego gorliwej pracy około podniesienia rolnictwa. Tej sprawie poświęcił życie całe, godzien też by pod egidą jego imienia prowadzono pracę dalej.

Na ten projekt piszemy się ochotnie, będzie to ziarno, które plon wyda najobfitszy.

Cała Europa dziś cierpi na skutki powodzi. Potężne dwie rzeki Europy środkowej: Ren i Dunaj wyruszyły ze swych łożysk, niosąc straszne spustoszenia. Straty wynoszą miliony, nie licząc cierpień ludzkich, a nieraz i życia. A choć to od nas daleko, płacz nieszczęśliwych dochodzi choćby po drucie telegraficznym. Niedawno temu nasza Wisła całą potęgą niszczącego żywiołu szerzyła zabór mienia i życia, a w ślad za tem głód i nędza zawitały do ziem nadbrzeżnych. Pozbawionym ziarna rolnikom, słali warszawscy literaci i artyści grosz zebrany za ziarno talentu i wiedzy. Uczuliśmy wówczas doniosłość obowiązku: głodnych nakarmić...

Więc też i dziś choć współczucie szlemy nieszczęśliwym, tembardziej że nie dalej, jak dziesięć mil od Warszawy spogląda Wisła groźnie na nadbrzeżnych mieszkańców.

Pomiędzy wsiami Przewozem Magnuszewskim i Ostrowiem utworzył się olbrzymi zator z kry. Olbrzymia ta zapora obejmowała przestrzeń blizko trzech wiorst. Wskutek tego woda zaczęła w rzece nagle wzbierać. Wał ochronny nie mógł się oprzeć sile wody, która wystąpiwszy z brzegów zalała szesnaście domów z zabudowaniami we wsiach: Holendry i Przewóz.

Trwoga nie do opisania opanowała mieszkańców. O ratowaniu się przez zabezpieczenie wału zwątpiono. Opatrzność przybyła z chwilową pomocą. Silny mróz ściął olbrzymie masy wody.

Ta chwilowo bezwładna potęga niszcząca ma w sobie coś strasznego. Może się uda uratować od wylewu przez usunięcie spieszne zatoru. Woda wówczas odpłynie dawnem korytem i katastro-

fa groźniejszych nie przybierze rozmiarów. Gdyby się to nie dało uskutecznić, nastąpiłyby skutki nie dające się obliczyć, a bądź co bądź straszne.

Es. Zet.

Z KRAJU I Z ZAGRANICY.

*** Staraniem konserwatora profesora Łepkowskiego, powstały fundancye w celu odprawiania Mszy św. w rocznicę zgonu spoczywających w grobach królewskich na Wawelu monarchów i bohaterów. Dotąd mają zapewnione w krypcie tychże grobów doroczne Msze święte: Władysław Jagiełło, Władysław Warneńczyk, Kazimierz Jagiellończyk, Zygmunt Stary, Zygmunt August, Anna Jagiellonka, Bona, Stefan Batory, Jan Kazimierz, Marya Ludwika, Jan III Sobieski, Stanisław August, Kościuszko, a oprócz tego w dzień zaduszny odśpiewana bywa rok rocznie Salve Regina. Wybór zmarłych za których dusze mają być odprawione Msze św. pozostawiony jest woli fundatorów.

*** Z Górnego Szląska, z ziemi Raciborskiej donoszą o ciągłem rozwijaniu się związku włościańskiego, założonego na wzór westfalskiego związku chłopów, liczącego już obecnie 19,000 członków. Każdy członek płaci rocznie jedną markę i za to otrzymuje czasopismo rolnicze w języku polskim oraz dobrą radę w każdej potrzebie, także w mowie ojczystej. Za pośrednictwem organów swoich, związek włościański wskazuje środki pomocy, wyrabia zabezpieczenia od ognia i gradobicia, pośredniczy w nabywaniu pożyczek z instytucyi finansowych, przyjmuje zaoszczędzone pieniądze, sprowadza po zniżonej cenie nawozy, nasiona i maszyny rolnicze, objaśnienia włościanom, ustawy krajowe, słowem nie zaniedbuje nic aby dopomagać i zapobiegać ruinie mniejszych posiadłości.

*** Niestrudzony podróżnik, profesor Żaba, uniwerstytecki kolega Mickiewicza, bawiący czasowo w Wiedniu, miał tam odczyt publiczny w języku polskim, na korzyść Stowarzyszeń: akademickiego „Ogniska", rzemieślniczego: „Zgoda" i dobroczynnego: „Przytuliska" Prof. Żaba przepłynął Atlantyk siedm razy, a Ocean spokojny pięć razy. Zbiory jego, zawierające 5,000 okazów, złożone są czasowo u ks. Pijarów w Krakowie i mają w przyszłości utworzyc muzeum. Ten nadzwyczaj sympatyczny starzec, nie stracił z wiekiem młodzieńczego swego zapału; powitawszy zebranych krótkiem serdecznem przemówieniem, zaprosił wszystkich na jednogodzinną podróż na około świata. W tym opisie podróży swej musiał naturalnie przeskakiwać oceany i lądy, pasma niebotycznych gór i niezgłębionych przepaści, a wszędzie uwielbiał wielkość Stwórcy i podziwiał siłę ludzkiego geniuszu, zwalczającego najcięższe przeszkody stawiane przez przyrodę. Nadmienił z radością i dumą, że niejedno polskie nazwisko pięknym zajaśniało blaskiem w dalekich krajach, wśród szermierzy cywilizacyi. Z inżynierów Polaków, wymienił między innymi Kwiatkowskiego, naczelnie prowadzącego budowę drogi łączącej dwa oceany, najwyżej wspinającej się po nad urwiska i przepaści gór Peru, którego nazwisko wyryto na pierwszem miejscu na pamiątkowym tej drogi medalu. Wspomniał także o Ignacym Domejce, rektorze uniwersytetu w Chili i o w. i. Cała pogadanka wypowiedziana była w pięknej i serdecznej formie, tworząc doskonale zaokrągloną całość. Niektóre ustępy, jak np. spotkanie się na dalekiej obczyznie z rodakiem, który od lat 40 nie słyszał ojczystej mowy, oraz wrażenie jakiego doznawał prelegent, usłyszawszy mazura zagranego przez młodszą córkę Domejki, i kiedy dwaj poważni starcy, przypomniawszy sobie lata młodości wspólnie spędzonej na Litwie, ująwszy się za ręce puścili się w taniec, a obecni temu Hiszpanie przypatrywali się niezrozumiałemu dla nich widowisku z zadziwieniem i obawą zarazem, dowodzą, że długie lata tułaczki po świecie całym, nie zdołały wygasić w sercu szanownego naszego ziomka, owego serdecznie poetycznego zapału, ożywiającego młodzież z czasów Mickiewicza. Słuchacze wynagrodzili prelegenta przeciągłemi oklaskami.

*** W początku tegorocznej zimy odbędzie się w Londynie wystawa odzieży hygienicznej. Uznając niedogodność teraźniejszego ubrania, zawiązał się tamże komitet który ogłosił kilka odnośnych nagrod. I tak za najlepsze ubranie kobiece, mające zadośćuczynić oznaczonym warunkom, wyznaczono 50 f. szterl. Warunki te są: 1-e swoboda ruchów; 2-e usunięcie ciśnienia na jakąkolwiek część ciała; 3-e jednostajnie rozłożony ciężar ubrania, nie ma być większy niż wymaga tego potrzeba uchronienia ciała od wpływu nagłych zmian powietrza; 4-e łączyć piękność i wytrwałość formy z wygodą i przyzwoitością; 5-e nie odróżniać się zbytecznie od zwykłego kobiecego ubrania. Druga nagroda została wyznaczona za najodpowiedniejsze ubranie dla dziewczynek od lat 10 do 12. Z pozostałych sześciu nagrod, przeznaczono po 10 funt. szterl. za najwygodniejsze kostiumy do pływania, ślizgania, jazdy konnej, gry w kroketa i t. p. — Znać w tem godną pochwały praktyczność angielską.

*** Protestanci angielscy obchodzili dawniej uroczyście w całym kraju d. 5 listopada rocznicę wylądowania Wilhelma z Oranii a głośne odkrycia spisku prochowego, mającego na celu wysadzenie w powietrze protestanckiego parlamentu. Obecnie zwyczaj ten zachował się tylko w niektórych dzielnicach Londynu, trwa jednak dotąd w całej pełni w mieście Leves, bogatej stolicy hrabstwa Sussex. Główną zabawę w tym dniu stanowi maskarada. Dawniej obnoszono po mieście wypchaną figurę Guy-Fowkesa, organizatora spisku, w późniejszych czasach zastępowano ją postaciami nielubionych ososobistości danej miejscowości. W przeddzień uroczystości wielki ruch panuje w Leves. Daje się słyszeć naśladowanie skrzeczenia żab, syk wężów, strzelanina i pukanina. O północy protestanci zbierają się na ulicy dla odprawienia obrządków religijnych, poczem wylatują w powietrze rakiety i zakończa obchód odśpiewanie hymnu: "God save the Queen." Nazajutrz (5 listopada) od samego rana pełno już na ulicach masek w najrozmaitszych przebraniach. Sklepy są pozamykane, a ponieważ ciągle ma miejsce puszczanie sztucznych ogni, mieszkańcy barykadują okna, zabezpieczając domy od pożaru. Z chwilą rozpoczęcia pochodu, policya się usuwa zostawiając ludowi wszelką swobodę w zabawach. Nieprzyjmujący w nich czynnego udziału, wychodzą na miasto w najgorszych ubraniach, ze szkłami na oczach. Nader malowniczy sprawia widok pochód z pochodniami, rozpoczynający się o 10-ej wieczór. Ognista chmura zdaje się unosić po nad płomieniami pochodni; kule ogniste wylatują co chwila. W tym roku wieziono na wozie figurę mającą przedstawiać Guiteau, mordercę Garfielda, ze stryczkiem na szyi; obok niego pastor i kat. U celu pochodu przed ratuszem, ktoś przebrany za biskupa, przemawiał do figury nader humorystycznie, poczem skazał na spalenie. Najpierw tedy powieszono go na szubienicy, a następnie spalono na stosie. Maski krążyły po mieście aż do białego dnia.

*** Największe na świecie organy ustawiono w New-Yorku, w kościele św. Franciszka. Zajmują one ogromny budynek przytykający do świątyni. Miechy poruszają się przez machinę hydrauliczną, instrument posiada 13 pedałów i 4,800 piszczałek. Artysta gra na 80 klawiszach. Przy robocie i ustawianiu organów zajęto przeszło 200 robotników. Rzeźby zdobiące tego olbrzma, wykonał ziomek nasz, Józef Rzuciński z Albany.

*** „Izraelita" podaje, że komedya barona Tarnegola p. t. „W ożidanii łuczszaho" drukowana w r. z. w petersburskim „Russkim Jewreju," jest po prostu tłomaczeniem „Żydów" Korzeniowskiego. Cała oryginalność plagiatu tego zasadza się na zmianie nazwisk działających osób, na wypuszczeniu kilku scen a dorobieniu w to miejsce innych, nieporównanie gorszych. Bodaj to czelność! przy jej pomocy, nawet nie posiadając żadnego talentu, można zyskać sławę dramaturga.

Zawiadomienia.

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

Дозволено Цензурою, Варшава 5 Января 1883 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 3, r. 1883.

ELIANA.

POWIEŚĆ W DWÓCH TOMACH

przez panią A. CRAVEN,

Przekład

K. P.

TOM PIERWSZY.

(Dalszy ciąg.)

Rajnold podniósł się także, a na twarzy jego ukazał się wyraz niezadowolnienia z jakiem przyjmował zwykle napomnienia i przestrogi. Zakrzyżował ręce na piersiach, i zapytał zimno:

— I dla czegóż nie miałbym jej kochać?

— Dla tego że nie wolno ci kochać Eliany, skoro nie możesz jej zaślubić

— Czy nie zechciałbyś mi powiedzieć dla czego, jeźli zdołałbym pozyskać jej serce?

— Matka twoja nie zezwoli nigdy, *nigdy* powtarzam, na to małżeństwo, rzekł poważnie Armand, zatrzymując się przed Raynoldem.

Twarz Rajnolda pobladła z gniewu czy też wzruszenia, usta mu drżały gdy odpowiedział:

— Zdaje mi się mówiłem ci już nie raz, Armandzie, że pod tym względem postanowiłem słuchać tylko mego serca i mej własnej woli. Jeźli matka moja sądzi że może wybierać za mnie i wskazać mi tę którą mam kochać, to na ten raz będę zmuszonym sprzeciwić się jej woli.

— I postąpisz bardzo słusznie, odezwał się Armand.

— A więc, w takim razie?.. rzekł Rajnold zdziwiony.

— Tak, postąpisz słusznie, skoro nie dozwolisz aby wola matki obarczała cię zbyt ciężkiemi do spełnienia obowiązkami, ale postąpiłbyś źle, gdybyś idąc wyłącznie za własną wolą, zasmucił ciężko jej serce.

— Mogę ci tylko zaręczyć że pod tym względem jestem i pozostanę zawsze niezależnym.

Pan de Malseigne nie chciał w tej chwili ani przeczyć ani potakiwać Raynoldowi, wiedząc że jedno byłoby bezużytecznem a drugie szkodliwem; zaczął więc znów milcząc chodzić po pokoju. Uważał się sam za starego kawalera, jakkolwiek miał dopiero trzydzieści pięć lat, był jednak zupełnie wolnym od samolubstwa o które zwykle oskarżają ludzi starzejących się samotnie. Wszystkie uczucia jego były silne, trwałe, głębokie i nie tylko że nie lubił zajmować innych tem co jego wyłącznie dotyczyło, ale nadto miał taki wstręt do mówienia o sobie, że nawet najbliżsi jego przyjaciele znali zaledwie niektóre kartki z dziejów jego życia. Wiedzieli tylko że mogą zawsze rachować na jego przyjaźń, że można było pójść śmiało, prawie w każdym razie, za jego radą, i że gdy szło o pocieszenie kogoś w smutku i okazanie mu współczucia, umiał to czynić prawie z kobiecą delikatnością, co w braku innych wskazówek mogło służyć za dowód że sam przecierpiał wiele. Będąc synem najlepszego przyjaciela ojca Raynolda, żył zawsze w serdecznych stosunkach z całą jego rodziną. Dzięki dojrzałości umysłu, pozyskał zaufanie margrabiny, która wtajemniczała go często w swoje zabiegi i plany; był jednak o tyle jeszcze młodym że mógł być przyjacielem jej dzieci i czuł dla pierwszej prawie synowskie przywiązanie, drugich zaś kochał prawie ojcowską miłością. Wyglądał młodo, bo jakkolwiek moralne cierpienia pokryły przedwcześnie szronem jego włosy, nie naruszyły ani piękności ani szlachetnego wyrazu fizyognomii. W obecnej chwili na twarzy jego malował się jednocześnie niepokój i smutek.

Rajnold który byłby prawdopodobnie doszedł do najwyższego rozdrażnienia, gdyby ta rozmowa przeciągnęła się dłużej, uspokoił się widząc że Armand nie myśli jej przedłużać, a gdy ten usiadłszy zaczął przeglądać gazetę jakby już zapomniał o czem mówili, sam wrócił do tego przedmiotu.

Prawda że już od miesiąca zostawał pod wpływem uroku, nie zdając sobie z tego sprawy. Dotąd nie pytał nawet sam siebie czy kocha Elianę; widział tylko że zachwycała go swą pięknością, że pociągała go ku sobie wyższością umysłu i pięknością charakteru, budząc w nim zajęcie jakiego dotąd nigdy jeszcze nie doznał. Uznawał że była pod każdym względem wyższą od niego; że przy niej płoche myśli i uczucia ustępują miejsca innym, dawniej mu nieznanym napełniającym serce jego jakąś błogą radością. Żył jakby we śnie... ale gdy go przebudzono, dla czego to przebudzenie miałoby stać się dla niego bolesnem cierpieniem? Czemu jego marzenia nie miałyby, przeciwnie, zamienić się w najmilszą, najpożądańszą rzeczywistość?

— Dla czego? powtórzył Armand wysłuchawszy go uważnie; wszak już powiedziałem, dla tego że matka twoja ma pod tym względem odmienne zamiary i wyobrażenia, których nie zmieni z pewnością. Nie myślę ich tu roztrząsać, nie wiem czy są zupełnie właściwe i uzasadnione, ale wiem że od nich nie zechce odstąpić. Pytam cię więc, Raynoldzie, czy zechcesz rozpocząć walkę która nie może przynieść szczęścia ani tobie, ani tej co stanie się niewinnym jej powodem? Eliana nie potrafiłaby może znieść tej myśli że wniosła niezgodę do domu w którym znalazła tak serdeczne przyjęcie, zostawszy samą na świecie, bez żadnej opieki.

— Miała prawo do miejsca które zbyt późno zajęła, rzekł Raynold z żywością i goryczą. Matka moja zawiniła bardzo, tak względem jej dziadka jak względem niej, i potrzebowała to wynagrodzić; a przewiniłaby jeszcze ciężej gdyby chciała ją karać za uczucie które wzbudziła mimowolnie, lub żądając aby się wyrzekła tych które może... może zrodziły się w jej sercu.

Malseigne spojrzał na niego bystro.

— Z twoich słów przed chwilą trzeba było wnosić, że nie domyślasz się wcale jakie są jej uczucia dla ciebie.

— Bo też nie wiem tego rzeczywiście.

— Czy nigdy, nawet jednem słowem nie zdradziłeś przed nią stanu twego serca?

— Nigdy... Ale jeźli i ona spostrzegła jak doskonała harmonija panuje między nami, jak zgodne są nasze usposobienia i wyobrażenia, i jeżeli to obudziło w jej sercu szczere głębokie uczucie, bez którego nie oddałaby nigdy swej ręki?...

— W takim razie, mój biedny Raynoldzie, ofiara byłaby ciężką i straszną, zawołał Malseigne drżącym głosem, a jednocześnie twarz jego stała się bledszą jeszcze jak zwykle; tak, ciężką i straszną... a ja nie miałbym odwagi namawiać cię do niej!

— Przebacz, mi Armandzie, że zbudziłem w tobie pomimowolnie smutne wspomnienie, ale sądzę że ono właśnie dozwala mi liczyć na twoje współczucie.

Malseigne nie zdołał jeszcze zapanować zupełnie nad swem wzruszeniem.

— Mojego współczucia możesz być zawsze pewnym, Raynoldzie, wyrzekł z trudnością, lecz nie idzie tu o nie, ale o twój obowiązek, prawie o twój honor. One nie dozwalają ci odkryć twych uczuć Elianie, dopóki nie pozyskasz zezwolenia matki. Skoro więc czas jeszcze, przyrzecz mi że i nadal zachowasz milczenie i że będziesz unikać wszystkiego co mogłoby jej dać poznać twoje przywiązanie.

— Dla czego wymagasz odemnie podobnej obietnicy?

— Bo nie chciałbym, Raynoldzie, aby w razie gdyby ziściły się moje przewidywania, gdyby jakaś nieprzezwyciężona przeszkoda stanęła między wami, boleść twoją podwajało jeszcze to przeświadczenie że zamąciłaś spokój jej serca. Dotąd, mówił dalej, może widziała w tobie tylko brata Bianki, prawie swego brata, bo muszę ci oddać sprawiedliwość, że w ciągu naszych wspólnych przechadzek nie szukałeś nigdy sposobności zbliżenia się do niej, w sposób mogący zwrócić naszą lub też jej uwagę. Zresztą jest tak nie zarozumiałą, tak mało zajmuje się sobą że nie łatwo jej odgadnąć jakie wzbudza uczucia, a może i zrozumieć jakich sama doznaje. Sądzę zatem że jeszcze czas abyś postąpił jak człowiek uczciwy, to jest jak człowiek niezdolny czynić obietnic nie będąc pewnym czy będzie mógł ich dotrzymać.

Raynold zamyślił się, a potem rzekł poważnie.

— Wiesz, Armandzie, jak szanuję i kocham moją matkę, uczucie to jest tak silne, że nie chcę nawet zastanawiać się nad tem, czy w jakimś razie mógłaby nadużyć swej władzy. Jednak gdyby, jak to mówią, chciała *mnie ożenić* stosownie do swego tylko uznania, i gdyby pomimo moich dwudziestu-sześciu lat skończonych, nie dozwalała mi rozporządzać moim losem i sercem, to przyznasz sam, że miałbym prawo oprzeć się jej woli.

— O! bezwątpienia; ale od tego do...

— Tak, wiem o tem, od tego do zrobienia choćby najlepszego w świecie wyboru, ale sprzeciwiającego się jej życzeniu, jest przestrzeń wielka której miłość synowska nie dozwala mi przekroczyć.

Malseigne skinął twierdząco głową.

— Niech i tak będzie, rzekł Raynold, uznaję tę różnicę tem łatwiej, że zapewnie i Eliana nie chciałaby mnie zaślubić wbrew woli mej matki.

— To nie ulega wątpliwości, i z tego powodu właśnie powinienbyś przyrzec mi czego od ciebie żądam.

Raynold namyślał się przez chwilę a potem rzekł.

— A więc daję ci słowo, Armandzie, że będę milczał dopóki nie otrzymam zezwolenia matki. Mam jednak nadzieję że to zobowiązanie krótko trwać będzie.

VI

Tem łatwiej było Raynoldowi dotrzymać obietnicy, że zaraz nazajutrz wyjechał do małej posiadłości którą w tym czasie odziedziczył niespodziewanie, i że do dnia ślubu siostry nie mówił prawie z Elianą. Z tegóż samego powodu nie był świadkiem małej burzy, która przy zetknięciu się takich charakterów jak Iwona i margrabiny, o mało nie sprowadziła ważnych następstw.

Mówiliśmy już że pan de Monléon był upartym, co nasunęło wkrótce sposobność do ciekawych spostrzeżeń nad skutkami tej wady czy też przymiotu (stosownie do okoliczności) w razie starcia się z podobnemi sobie, jako stanowiącemi także wybitną cechę charakteru pani de Liminges.

Raz już przyszło do lekkiego starcia gdy chodziło o konne spacery, i wtenczas Iwon odniósł pierwsze zwycięztwo, teraz chciał otrzymać powtórne, i to w rzeczy ważniejszej, co do której zdania ich różniły się zupełnie.

Widzieliśmy już że Iwon był wielkim zwolennikiem zwyczaju, dozwalającego wybrać sobie towarzyszkę życia bez narażania się na zawody i rozczarowania, i bez zadania sobie przed tem najlżejszej pracy w celu pozyskania jej względów. Utrzymywał nawet że miłość zaślepiała tylko ludzi, gdy przeciwnie wiadomości zbierane starannie i czerpane z dobrego źródła, chronią od omyłek, których człowiek zakochany, właśnie z powodu zakochania, ustrzedz się nie może. Dotąd wszystko zgadzało się jak najdokładniej z wyobrażeniami margrabiny, co więcej podzielał jej uprzedzenia przeciwko Anglii (której nie znał wcale) i był przeciwnym wszystkiemu co z niej pochodziło. Pomimo to, nie wiedząc o tem przejmował niektóre jej zwyczaje, nie odstępując od nich nawet jeźli ktoś zwrócił na to jego uwagę. Tak się też stało gdy szło o konne przejażdżki dla Bianki; naprożno margrabina przedstawiała mu że to jest zwyczaj angielski, że obstając przytem postępuje jakby był Anglikiem, Iwon nie chciał odstąpić od żądania, i margrabina zezwoliła w końcu, pocieszając się nadzieją że nikt się o tem nie dowie.

Teraz obstawał równie stanowczo za zwyczajem dziś już upowszechnionym, ale wtenczas jeszcze nie przyjętym ogólnie, a na który margrabina powstawała zawsze głośno; to jest chciał się uwolnić od ślubnego obiadu i następującego po nim balu, wyjeżdżając z żoną zaraz po ślubie. Miał zamiar pojechać z nią najprzód do Crécy, a następnie do Włoch, ażeby, jak się wyraził „zobaczyć raz Włochy i nie myśléć o nich więcej."

To postanowienie stało się powodem walki która przestraszyła Biankę. Nie była do tego przyzwyczajoną aby ktoś opierał się jej matce, a z drugiej strony poznała że przyszły jej małżonek posiada niezłomną wolę. Zawezwała na pomoc pana de Malseigne, Iwon zaś z swej strony odwołał się do baronowej de Crécy. Malseigne starał się przekonać margrabinę iż nie uchybiało to bynajmniej Biance, że Monleon pragnął zabrać ją jak najprędzej do siebie, to jednak nie wpłynęło na zmianę jej zdania. Co do baronowej, ta nie przeczyła że jej siostrzeniec był oryginałem, ale oświadczyła zarazem że na to nie było już rady, i że trzeba go było przyjąć takim jak jest, i nakoniec że skoro tak bardzo życzy sobie tego, lepiej mu się nie sprzeciwiać, gdyż w przeciwnym razie byłby tak niezadowolnym w dzień ślubu, że musiałoby to zwrócić uwagę obecnych i wywołać różne komentarze.

— Czy sądzisz że ich czynić nie będą skoro ją porwie prosto od ślubu?

— Zapewnie, ale nie będzie w nich nic przynoszącego ujmę Biance, a zresztą muszę cię uprzedzić, że naprożno starałabyś się wybić mu to z głowy, bo nie zdołasz nigdy zmienić jego zdania.

Te ostatnie słowa zachwiały postanowieniem margrabiny, ale jednocześnie zaczęła się lękać czy taka niezłomność woli nie rokuje Biance ciężkiej przyszłości, postanowiła też wybadać córkę i zapewnić się czy jej to nie przestrasza. Pani de Liminges uważała że ma prawo wybrać córce męża stosownie do swego uznania, ponieważ była przekonaną że wybierze lepiej niżby to mogła uczynić Bianka, ale pragnęła gorąco widzieć ją szczęśliwą, i jakkolwiek blizko już było do ślubu, nie wahałaby się zerwać, jeźliby się przekonała że córka nie spodziewa się szczęścia w tym związku. Jakże się zadziwiła widząc że jest zupełnie spokojną. Bianka miała charakter bardzo łagodny, przywykła od dzieciństwa słuchać we wszystkiem matki, stosować się ślepo do jej woli, jakżeby więc mogła pomyśléć o stawianiu oporu temu, który miał pozyskać nad nią rozciąglejszą jeszcze władzę? Bianka nie posiadała bogatej wyobraźni, stanowiącej zarazem szczęście i udręczenie dla tych którym dostała się w udziale; pojęcia jej były proste, szlachetne i pozytywne. Skoro tylko pan de Monléon został jej narzeczonym, uważała że jako przyszły jej władzca ma prawo do jej uległości; a gdy następnie przekonała się że prawie pod każdym względem ich uczucia i upodobania zgadzają się zupełnie, zaczęła przywiązywać się do niego coraz więcej, a w końcu taką pokładała ufność, iż wierzyła że zawsze ma słuszność. W tym wypadku, niepokoił ją więcej opór matki niż wymaganie Iwona, bo co do niej zgadzała się równie chętnie na podróż, jak przystałaby na tradycyonalny obiad i bal weselny, gdyby on życzył sobie tego. Pragnęła przedewszystkiem aby Iwon był zadowolnionym, i aby żadna chmurka nie zaćmiła pogody tego dnia, w którym miała z nim razem rozpocząć nowe życie.

Spór został wreszcie zakończony wspólnemi ustępstwami. Margrabina odstąpiła od balu i zezwoliła na podróż, a Iwon zgodził się na śniadanie, na którem mieli być wszyscy krewni, przyjaciele i znajomi państwa młodych, a następnie dopiero Bianka odjedzie z tym który będzie już wtenczas jej mężem i panem.

Zbliżył się nakoniec ten dzień tak uroczysty. Bianka w ślubnem ubraniu piękniejszą jeszcze była jak zwykle, a śliczna jej twarzyczka przybrała wyraz poważny i myślący. Powóz już czekał; brat mający ją prowadzić do ołtarza, stał obok niej poważny i wzruszony. Margrabina de Liminges przyciągnęła raz jeszcze do serca córkę, z tą czułością połączoną z ciężkim niepokojem, budzącym się zwykle w podobnej chwili w sercach biednych matek, choćby w tej chwili spełniały się nawet najgorętsze ich życzenia.

Kościół oświetlony rzęsisto, był prawie przeciążony wonnemi kwiatami. Ołtarz na którego stopniach klęczy Bianka obok Iwona, otoczyło liczne grono krewnych i przyjaciół. Ciekawi zapełniający nawę kościoła, wyrażali nader pochlebne zdanie o powierzchowności pana młodego; wyższe towarzystwo znajdujące się przed ołtarzem czyniło to z pewnemi zastrzeżeniami. Nie uszło uwagi obecnych, że wymówił: *tak*, głośno i wyraźnie, oraz że powstał pierwszy, w czasie Ewangelii, co jest nieomylną oznaką usposobienia despotycznego; ale za to modlił się przykładnie choć bez przesady w czasie Mszy ślubnej, nie zważając co na to ludzie powiedzą. Bianka modliła się gorąco i kornie a łzy spływały po jej ślicznej twarzy; podniosła głowę dopiero po Mszy, widząc że mąż czeka na nią, otarła oczy i uśmiech ukazał się znów na jej ustach. Iwon podał jej rękę, i wszyscy udali się za nimi do zakrystyi, gdzie nowożeńcy mieli odbierać powinszowania, stosownie do zwyczaju, do którego można zastosować słowa Hamleta o strzałach odzywających się w chwili gdy król wychylał kielichy, „że byłoby przyzwoiciej zaniechać go niż się do niego stosować," gdyż doprowadza do największego zamętu, i zupełnego, choć tylko chwilowego zapomnienia o świętości miejsca.

Obecnie było tak samo, a może i gorzej jeszcze, z powodu liczniejszego jak zazwyczaj towarzystwa. Wszyscy powstali razem i podążyli za młodą parą, tłocząc się i popychając wzajemnie. Eliana nie znająca tego zwyczaju, nie wiedziała co znaczy ten pośpiech, i dla tego wolała pozostać na swojem miejscu. Najprzód przeszła koło niej Bianka wsparta na ramieniu męża; potem margrabina z księciem de Longvilliers, blizkim krewnym Iwona; dalej Raynold prowadził księżnę de Longvilliers, a za nim szła młoda panienka, odznaczająca się wykwitną elegancyą stroju, żywością czarnych oczu i długością loków wysuwających się z pod maleńkiego białego kapelusika, i spadających na różową suknię, uwydatniającą piękną jej kibić. Za nią szła baronowa de Crécy, w sukni jasno wiśniowego koloru, może zajaskrawej na tę porę roku, ale która kazała się domyślać, czego właśnie sobie życzyła, że jest jedną z najważniejszych osób na ślubie. Prócz tego miała na sobie tyle brylantów, ile tylko można nosić ich rano nie przekraczając granic dobrego gustu, i była prawdziwie rozpromienioną, gdyż czuła że teraz została już stanowczo przyjętą do wyborowego towarzystwa, do którego dotąd pomimo majątku i nazwiska, nie potrafiła znaleźć wstępu.

Cały już prawie orszak weselny przesunął się tak przed Elianą, gdy młody mężczyzna, całkiem jej nieznany, ale który często spoglądał na nią jakkolwiek stał dość daleko, zbliżył się prędko do niej odsuwając dość głośno zawadzające mu krzesła, i podał jej rękę.

Eliana przyjęła ją z początku z zadziwieniem a następnie z wdzięcznością, przekonawszy się że trudno byłoby jej przebić się przez tłum i połączyć z ciotką.

— Szkoda że pani nie udała się zaraz za panią de Liminges, chociaż korzystam z tego mogąc jej być użytecznym.

Eliana odpowiedziała tylko skinieniem głowy, i szła milcząc za swym przewodnikiem, który z trudnością torował jej drogę wśród natłoku ciekawych, w końcu jednak nie mogąc się domyśléć po co ją w taki ścisk prowadzi, zapytała:

— Gdzież my idziemy?

— Do zakrystyi, gdzie dostaniemy się skoro sto pięćdziesiąt osób, powinszuje po sto pięćdziesiąty raz hrabiemu i hrabinie de Monléon szczęśliwego związku.

Postąpiła jeszcze parę kroków, a potem rzekła zatrzymując się:

— Nie pojmuję doprawdy, dla czego miałabym tak przebojem tłoczyć się do zakrystyi, skoro Bianka wraca jeszcze do domu, i będę mogła tam jej powinszować.

— Może pani woli zaczekać w kościele, w takim razie dam jej znać gdy już rozjeżdżać się zaczną.

— O! tak, wolę zaczekać. Dziękuje panu, rzekła Eliana.

Wycofali się wkrótce z tłoku, i nieznajomy to-

warzysz doprowadził ją do krzesła stojącego dalej w kościele, gdzie nie było nikogo.

— Niech pani będzie łaskawa pozostać tu już do końca, ja zaś będę się starał zbliżyć do pani de Liminges.

— Gdyby margrabina szukała mnie, może pan zechce powiedzieć jej gdzie jestem.

— Może pani być zupełnie o to spokojną.

— Nie wiem doprawdy jak mam podziękować panu.

— Podziękowanie byłoby zbytecznem; uważam sobie za szczęście że mogłem być pani użytecznym i że wolno mi będzie odprowadzić ją do powozu.

Eliana spojrzała na niego uważniej, aby mogła go poznać gdy powróci: nie był ani brzydkim ani ładnym, ale cała jego powierzchowność zdradzała że należał do wyższego towarzystwa. Patrzyła chwilę za odchodzącym, a gdy jej znikł z oczu przestała o nim myśléć.

Uklękła, i wsparła czoło na złożonych rękach. Posiadała dziwną zdolność zapomnienia o zewnętrznym świecie, i przenoszenia się myślą do tego w którym żyła z sobą tylko i z Bogiem. Odetchnęła swobodniej, uwolniona od zgiełku otaczającego ją przed chwilą.

Nie zapominajmy, że Eliana pomimo wykształcenia stawiającego ją wyżej od innych, żyła dotąd w tak zupełnem odosobieniu że nie miała żadnego wyobrażenia o wielu rzeczach. Jedynie wrodzony takt i ostrożność chroniły ją od okazania zupełnej nieświadomości zwyczajów i przepisów światowych, i nie dozwalały przekraczać ich zbyt widocznie. Pobyt w domu stryjenki nie wiele oświecił ją pod tym względem, ponieważ stosownie do swego życzenia, na które zgodziła się pani de Liminges, dopiero po skończeniu żałoby miała być w świat wprowadzoną. Dziadek który kochał ją tak szczerze i wychował tak starannie, nie zastanowił się jednak nad tem, że nie dozwalając wnuczce poznać zwyczajów towarzystwa w którem nie miała żyć nadal, otwierał szerokie pole jej wyobraźni mogącej wytworzyć sobie jakieś urojone nigdzie nie istniejące; a może zresztą nie widział w tem nic tak szkodliwego. Zresztą, Eliana jakkolwiek tak młoda, posiadała ów dar nieoceniony uczący nas cenić uciechy i smutki życia, według wartości jaką sam Bóg do nich przywiązuje. Wzrosła w tem przekonaniu że nie ma żadnej trudności w ścisłem zastosowaniu się do tego prawa, a jakkolwiek było to złudzeniem, to wszakże opartem na najwznioślejszej prawdzie. Otóż Eliana pomimo swej żywej i poetycznej wyobraźni, miłowała nad wszystko prawdę, i nawet rojenia jej unoszące ją po za obręb świata, opierały się także na rzeczywistości. Rzadko kiedy oddawała się marzeniom jakie tworzą zwykle młode panienki, gdyż w ogóle nie lubiła się zajmować sobą, i albo myśli jej unosiły się w nieskończość, albo też zwracały się ku innym. Można więc było nazwać ją egzaltowaną (w dobrem znaczeniu tego wyrazu) ale byłoby niesłusznie posądzać ją o usposobienie romantyczne.

Z tego co powiedziliśmy o Elianie, pokazuje się że nie była stworzoną do życia światowego, i dla tego też czuła się trochę skrępowana, nawet w domu stryjenki. W ciągu ostnich kilku tygodni była znacznie swobodniejszą; przebywała więcej na świeżem powietrzu, jeździła konno, co stanowiło jej najmilszą rozrywkę; oddychała często wonią pól i lasów, a nadewszystko doznawała tej przyjemności jaką nam sprawia możność wypowiadania otwarcie swych myśli, i słuchania tego co warto zatrzymać w pamięci. Rozmowa Armanda była tak zajmującą że nigdy nie mogła się sprzykrzyć, a Raynold wyrażał się zawsze tak szlachetnie, rozumnie, niekiedy poważnie, a zawsze bez najmniejszej przesady, że nie wahała się wyznać przed sobą że go kocha jak brata... Wszakże zgadzali się tak dobrze pod każdym względem, i on rozumiał ją lepiej niż siostra jego.

Po tych dniach błogich, nastąpiły inne szczęśliwsze jeszcze dla Eliany, gdy jej pozwolono przepędzić wraz z Bianką cały tydzień w klasztorze. Ale kiedy po tych chwilach błogiego spokoju i nieprzerwanej ciszy, znalazła się nagle wśród nieuniknionego w podobnych razach zgiełku i zamętu, nie mogła się z nim oswoić tak od razu, i już od dwóch dni zostawała pod wpływem jakiegoś przykrego odurzenia. Onegdaj, w dniu podpisania aktu ślubnego, była po raz pierwszy na większem zebraniu światowem. Bianka była ubrana bardzo świetnie, więcej już jak młoda mężatka niż jak młoda panienka. Eliana nie miała także nigdy jeszcze równie strojnej toalety, i pierwszy raz w życiu słyszała koło siebie ten szmer pochwał, sprawiający mniej więcej silne wrażenie na każdem, choćby najepiej strzeżonem sercu. Czy była niedostępniejszą od innych? Trudno byłoby ręczyć za to, ale to pewna że w tej chwili więcej ją to onieśmielało niż wbijało w dumę, bo jeźli było jej tak łatwo odłączyć się od świata, to obecnie z pewną niechęcią wracała do niego, jak niechętnie słuchalibyśmy dźwięku trąb i rogów po jakiejś poważnej i wzniosłej melodyi, brzmiącej jeszcze w naszej duszy i pamięci.

Teraz, po raz pierwszy od trzech dni, mogła zebrać myśli; nerwy jej uspokoiły się, a roztargnienie nad którem dotąd nie mogła zapanować, ustąpiło miejsca myślom i modlitwom budzącym się w jej umyśle i sercu, i czuła się szczęśliwą mogąc oddać się im spokojnie choć przez kilka minut.

VII.

Raynold odprowadził księżnę de Longuevilliers do zakrystyi, a następnie wrócił na swoje miejsce przy matce, stojącej ciągle obok nowożeńców. Wsparty o ścianę, przyglądał się osobom należącym do ślubnego orszaku, jak przeciskając się mozolnie przez drzwi, wchodziły do zakrysty, ale odpowiadając machinalnie na ukłony i uściśnienia ręki, patrzył ciągle przed siebie z uwagą połączoną najprzód z zadziwieniem, a następnie z pewnym niepokojem. Szukał wzrokiem Eliany, ale nie mógł jej dostrzedz nigdzie.

Wkrótce przechodzący koło niego młody człowiek rzekł podając mu rękę:

— Dzień dobry, Raynoldzie, winszuję ci.

— Dziękuję ci, Horacy, czy dawno przyjechałeś do Paryża?

— Wczoraj. Przybyłem umyślnie na ślub twej siostry.

— Jesteś prawdziwie uprzejmym.

Gdy Raynold zamieniwszy te kilka słów zwrócił znów oczy ku drzwiom, młody jego znajomy zbliżył się do margrabiny, która zawołała z radosnem zadziwieniem:

— Pan de Trévals! Witam pana; mówiono mi, że już wyjechałeś z Paryża.

— Wyjechałem rzeczywiście, ale...

Raynold nie miał ochoty słuchać co koło niego mówiono, ale imie kuzynki wymienione przez Horacego Trévals zwróciło nagle jego uwagę. Nie wiedział co mówił przedtem, ale usłyszał odpowiedź swej matki:

— Bardzo panu dziękuję, a skoro jesteś tak uprzejmym, to przywitaj prędko państwa młodych, a następnie zechciej wrócić do niej i powiedzieć że za kilka minut wrócimy do kościoła, niech więc wtenczas pośpieszy do mnie. Rachujemy na to, że pan będzie na śniadaniu.

Hrabia de Trévals przyjął chętnie zaproszenie a chętniej jeszcze dane mu zlecenie, ukłonił się margrabinie i wkrótce wyszedł z zakrystyi. W kwadrans później, Raynold (który odprowadzał właśnie księżnę de Longeuvilliers do powozu), spostrzegł kuzynkę gdy wsparta na ramieniu pana de Trévals zbliżała się do margrabiny.

Państwo młodzi już odjechali i pani de Liminges czekała tylko na Elianę, która też nadeszła wkrótce. Hrabia Horacy de Trévals prosił jej wtenczas, aby go przedstawiła synowicy, o ile się zdawało, bardzo chętnie spełniła jego życzenie. Eliana podziękowała mu raz jeszcze za jego uprzejmość i wsiadłszy do powozu zajęła miejsce które godzinę temu zajmowała Bianka, Raynold usiadł naprzeciwko niej. Margrabina była wzruszona, ale zarazem ożywiona i szczęśliwa.

— Ukochana moja Bianka, rzekła gdy powóz ruszył, jakżem szczęśliwa iż mogłam zapewnić jej tak świetną i błogą przyszłość!. Jakaż dziś była śliczna!... on także doskonale wyglądał.. mówiono mi, że podobał się powszechnie... A jednak smutno to bardzo wydać za mąż jedyną córkę — matki tylko mogą pojąć co się wówczas w sercu dzieje... Całe szczęście że — choć pewnie nie długo — zostajesz ze mną Eliano, dodała ocierając łzy i uśmiechając się zarazem; dopokąd mam ciebie zdaje mi się, że druga córka mi pozostała.

Eliana mocno wzruszona pocałowała z uczuciem rękę ciotki, która nie spostrzegła że syn jej drgnął usłyszawszy te słowa wypowiedziane do kuzynki.

Po powrocie do domu, margrabina zbyt wiele miała zajęcia aby mogła oddawać się rozrzewnieniu. Wydała szczegółowe rozporządzenia, które wykonano wiernie. Salony przybrane były najpiękniejszemi kwiatami, okna pootwierane, w ogrodzie grała wybornie niewidzialna muzyka. Szkoda, że obecnie zwyczaj ten zaczyna wychodzić z mody przy ślubach w wielkim świecie. Najwykwintniejsze towarzystwo zebrało się licznie; śniadanie złożone z najwyszukańszych potraw i przysmaków, było ożywione i wesołe a nie wrzaskliwe. Iwon często spoglądający na zegar, był nadzwyczaj uprzejmym dla wszystkich, miał dla każdego jakieś miłe słówko, tem tylko zdradzając swą niecierpliwość, iż zwrócił uwagę żony, że czas aby białą swą szatę zmieniła na ubiór podróżny.

Bianka wstała natychmiast; gdy wyszła z pokoju Eliana udała się za nią i obie znalazły się same w pokoju, w którym przebyły rok cały, złączone najserdeczniejszem przywiązaniem.

Żywo wzruszone, obiedwie milczały; zdawało się że teraz dopiero Bianka pojmowała po raz pierwszy całą ważność zmiany zachodzącej w jej życiu. Gdy przyszło jej pożegnać matkę, brata, przyjaciół otaczających ją od dzieciństwa, opuścić na zawsze dom rodzinny, dotychczasowa dziecinna nieco pewność i spokój opuściły ją nagle, serce ścisnęło się boleśnie i rzuciła się w objęcia matki, przerażona myślą, że pan de Monléon ją zabierze i odtąd ma na zawsze zastąpić dla niej wszystkich ukochanych. Szczęściem Iwon pojmował prawdziwe uczucia, pozwolił jej więc płakać chwil kilka w objęciach matki, poczem rzekł łagodnie ale z powagą:

— Chodź Bianko, czas już jechać.

Goście odsunęli się podczas tego pożegnania i wkrótce wszyscy rozjechali się, wiedząc że margrabina tegoż dnia wieczorem opuszcza Paryż.

Miotana zarazem smutkiem i radością, margrabina zostawała pod wpływem jakiegoś moralnego

upojenia nie dopuszczającego rozwagi, ale dozwalającego jednak czynić i postępować jak należało. Czuła wytwarzającą się około niej próżnię, ale rozmyślanie nad tem odkładała do chwili gdy pozostanie sama. Zresztą smutek jej łagodziło zadowolnienie nietylko z teraźniejszości ale i z przyszłości, w której przewidywała już spełnienie innych jeszcze zamiarów swoich, co dozwalało jej spełniać z wdziękiem i bez wysilenia obowiązki pani domu względem zaproszonych gości.

Ostatnim oddalającym się był Horacy de Trévals. Gdy ją żegnał, margrabina rzekła do niego:

— Wiadomo panu zapewnie, że z Paryża do Erlon jest tylko dwie godzin drogi, byłbyś bardzo miłym gościem, gdybyś zechciał nas odwiedzić.

— Nie omieszkam korzystać z łaskawego upoważnienia pani margrabiny.

— W przyszłym tygodniu zastaniesz pan u nas państwa de Longvilliers z wnuczką, naszego przyjaciela pana Armanda de Malseigne i kilka jeszcze osób.

— Dość dla mnie że zastanę panią margrabinę, odpowiedział.

Eliana stała o parę kroków od ciotki, zbliżył się do niej składając głęboki ukłon. Zgodnie ze zwyczajem angielskim do jakiego przywykła od dzieciństwa, podała mu rękę, tem życzliwiej, że w tem licznem mało znanem sobie towarzystwie, pan de Trévals kilkakrotnie w dniu tym z nią zozmawiający, wydał jej się prawie dawnym znajomym. Ujmując podaną sobie rękę, Horacy złożył na niej pocałunek pełen uszanowania i galanteryi zarazem, co mocno zmięszało Elianę. Prędko usunęła rękę, a po wyjściu jego rzekła zarumieniona:

— Pan de Trévals okazuje mi za wiele uszanowania albo też... poufałości.

— Bo, okazałaś mu za wiele dobroci, kuzynko, odrzekł żywo Raynold, który nie spuszczał z nich oka.

Powiedział to jednak wesoło. Dzień ten wydawał mu się nieznośnie długim, a przyjaciel jego Horacy niecierpliwił go nadzwyczaj, szczególniej podczas śniadania, gdyż potrafił tak manewrować że zajął miejsce przy Elianie. Teraz jednak był już w dobrym humorze, myśląc o tem że niezadługo wyjedzie z nią do Erlon. Brzmiały mu jeszcze w uszach słowa matki wypowiedziane w powozie, i tłomaczył je sobie jak najprzyjaźniej dla swoich pragnień. Niepokoje i rady Armanda zatarły się w jego pamięci, z wyjątkiem tej jedynie aby milczeć do czasu. Ale o to mniejsza! Mógł czekać byle trwały słodkie teraźniejsze chwile, a następnie zmieniły się w pożądańsze jeszcze, kiedy wolno mu będzie mówić i postępować zgodnie z wymaganiem serca.

Gdy już wszystko ucichło i margrabina znalazła się samą, zaczęła czuć nieuniknione oddziaływanie doznanych wzruszeń; Eliana zajęła się niezbędnemi przygotowaniami do drogi, aby oszczędzić jej wielkiego utrudzenia a zarazem nie zostawić samej zupełnie niezajętej, ale jednocześnie, nie okazując że pragnie rozerwać ją i pocieszyć, miała zawsze coś do powiedzenia ciotce, co nie dozwalało tejże zatapiać się w milczeniu i rozmyślaniu.

Późnym wieczorem puścili się w drogę i we dwie godziny przybyli do pałacu w Erlon-Les-Bois, w którym Eliana nie była jeszcze. Przeszli schody peronu przybrane kwiatami, prowadzące do wielkiego przedsionka, z którego wchodziło się do wielkiego salonu o ścianach pokrytych ponsowym adamaszkiem; na jednej z nich wisiał portret Raynolda, malowany gdy miał lat ośmnaście. Salon ten słabo był oświetlony lampą stojącą nad kominkiem, ale wieczór był piękny i tak jasny, iż przez otwarte okno można było dojrzeć zarysy krajobrazu rozjaśnionego odbłyskiem gwiazd. Przysunąwszy się do okna, Eliana wpatrzyła się w piękne nieruchome drzewa i lesiste wzgórza zamykające horyzont. Upajająca woń rezedy i heliotropów dolatywała z ogrodu.

Trudno opisać rozkoszne jej, nieprzewidziane wrażenie. Zawsze bardzo lubiła wieś, a tak się jakoś złożyło iż od czasu jej przybycia do Francyi, margrabina nie opuszczała Paryża; nie cieszył ją jednak ten wyjazd w dniu ślubu Bianki, gdyż smutno jej było pomyśléć że przybędzie bez niej w miejsce zupełnie jej nieznane, tak różne od tego w którem przebywały razem. Teraz jednak smutne te myśli ustąpiły przed rozkosznem wrażeniem. Kochała szczerze Biankę która dotąd kochała ją więcej od innych osób poznanych we Francyi, ale w tej chwili jakieś potężniejsze nad przyjaźń uczucie zapełniało próżnię wytworzoną w sercu jej nieobecnością. Są dusze uprzywilejowane dla których przyroda żyje i mówi, mogą one jak św. Franciszek z Assyżu wchodzić w bezpośredni stosunek z całą kreacyą, jak on nazywać *braćmi* i *siostrami* słońce, księżyc i gwiazdy, ptaki i zwierzęta, których milczące spojrzenia zdają się zadawać im niekiedy tajemnicze pytania.

Eliana podobną była obdarzona duszą; dla niej wieś oddychała niewysłowionem życiem, i nie pojmowała jak w niej można było się nudzić — jednak do wyż opisanych wrażeń, łączyło się jakieś uczucie nieokreślonej radości. Raynold więcej niż zwykle rozmawiał w drodze, i on także zdawał się bardzo wesoły, choć nie było niby wyraźnego do tego powodu; nie mówił wprost do niej, a przecież każde słowo jego zdawało się odpowiadać jej myślom. Czuła się niewymownie szczęśliwą na samą myśl że był tu z nią razem, i że nazajutrz będą mogli znów rozmawiać a może i używać wspólnych przechadzek, jak w Paryżu. Od dwóch tygodni prawie nie widywała kuzyna, który, wierny przyrzeczeniu, unikał jej teraz; spostrzegła to nie śmiejąc przyznać sama przed sobą, że jej to sprawiało przykrość.

Gdy pozwolimy myślom bujać swobodnie, unoszą się daleko i szybko, to też upłynęło kilka minut zanim Eliana spostrzegła że panna Sylvestre zajęła się wypakowywaniem z wielkiej walizy różnych przedmiotów, które rozkładała w salonie na stołach lub wynosiła obok, do pokoju margrabiny. Eliana zaczęła jej pomagać chcąc ująć trudu tej nieocenionej osobie, nigdy nie myślącej o sobie.

— Pozwól mi zanieść te książki, panno Sylvestre; gdzie je położyć?

— Tam na stoliku, przed fotelem.

— A tę szkatułeczkę?

— Na konsoli; a to pudełeczko na etażerce.

— A ten zegar?

— Na kominku; są to ulubione margrabinie przedmioty.

— Któremi zajmujesz się tak troskliwie, panno Sylvestre.

— Biedna Julia, zapewne spożywa teraz wieczerzę, umierała z głodu, odrzekła panna Sylvestre.

— Ale i pani musisz być bardzo znużoną; wstałaś dziś przededniem.

— Mogłażem spać w dniu w którym moja pieszczotka... Ale, chwała Bogu, będzie szczęśliwa... Jak myślisz, Eliano, gdzie też są teraz?

— Mówiono że staną w Crécy jednocześnie jak my w Erlon.

Tak rozmawiając, Eliana rozkładała wydobyte przedmioty.

— Gdzie postawić to ładne pudełeczko? zapytała.

— O! daj mi, niech zobaczę, jest w nim jej portret.

Za otworzeniem ukazały się dwie miniatury: Bianki i Raynolda.

— Jakże piękni o boje! zawołała.

— Prawda, odpowiedziała Eliana, i popatrzywszy chwilę, zapytała: Gdzie je postawić?

— Tam na tej małej etażerce, przy fotelu pani margrabiny.

— Dobrze, a teraz proszę spocznij pani na tej kozetce, ja już dokończę układać.

Panna Sylvestre opierała się z początku, ale gdy Eliana posadziła ją gwałtem prawie, niebawem głowa jej opadła na tył kozetki, oczy się zamknęły, zasnęła. Po chwili Eliana obudziła ją mówiąc:

— Jesteś nadzwyczaj znużona, kochana panno Sylvestre, proszę idź się połóż, ja cię zastąpię przy ciotce do powrotu Julii.

— Dziękuję ci serdecznie, dobre, kochane dziecię, masz słuszność, oczy zamykają mi się mimowolnie—pójdę się położyć.

Po jej odejściu, Eliana według swego gustu porozstawiała pozostałe przedmioty; a znużona ale zadowolniona margrabina wypoczywała w fotelu. Dwóch służących zastawiało lekką przekąskę, a Raynold, wsparty o kominek, śledził wzrokiem uwijającą się Elianę. Miała na sobie skromny kostium podróżny z płótna niewarowego, a nieco potargane włosy świadczyły o zupełnym braku pretensyi, jednakże nigdy nie wydała mu się piękniejszą, a ruchy jej wdzięczniejszemi. Gdyby był poetą porównywałby jej młodą, wiotką i dostojną zarazem postać do jakiej nimfy lub bogini, ale zamiast tego mówił sobie najzwyczajniejszą prozą, że obecność jej dodawała miejscu temu niezrównanego uroku, i że ona tylko a nie żadna inna, zostanie panią jego i ozdobą.

Dobra te były własnością Raynolda; ale nie mając zamiłowania do gospodarstwa pozostawił zarząd matce, aż do dnia gdy nareszcie ożeni się i zamieszka tu stale. Wtedy sam obejmie ster rządu— choć i wówczas matka zajmować będzie najpierwsze miejsce.

Około dziesiątej, Eliana urządziła wszystko w pokoju ciotki; gdy wróciła do salonu margrabina rzekła:

— Wieczerza gotowa: siadajcie do stołu, ja nie opuszczę mego fotela. Przyślijcie mi tu parę biszkoptów i kieliszek malagi. A gdzież panna Sylvestre?

Wytłomaczywszy jej zniknięcie, Eliana zajęła miejsce przy stole; Raynold usiadł naprzeciw niej. Z początku jedli w milczeniu, potem zamienili kilka słówek, jak często bywa gdy zawiele mamy do powiedzenia, i dopiero powoli rozmowa zaczęła się ożywiać. Dwie świece stojące na stole, oświecały zaledwie ich i potrawy, w całym wielkim salonie było prawie ciemno. To też mogło im się zdawać że są zupełnie sami, co nie miało miejsca od owej chwili gdy pierwszy raz rozmawiali z sobą.

Jakaż to zaszła w nich zmiana!.. Żadne słówko nie zdradzało uczuć Raynolda, ale głos, spojrzenie, sama nawet niezwykła wesołość, tak były wymowne i sympatyczne. Eliana dawała oklepane odpowiedzi, ale słodki uśmiech i radosne wzruszenie niezwykłego uroku dodawało jej słowom.

(D. c. n.)

Opis do N-ru 2.

(Dokończenie).

N. 37 i 11—12. Pantofel filcowy z wykładem. Krój na arkuszu N. XIV, fig. 74—75.

Pantofle takie można uszyć z miękkiego kolorowego filcu np. bronzowego, z podszewką niebieską kaszmirową, wyszytą na wykładzie kolorowym jedwabiem podług r. 11 lub 12. Boki pantofla krają się w jednym ciągu z wykładem, podszewkę dopasowywa się podług fig. 75 i przystębnowywa do filcu. Podeszwa filcowa przykryta jest wewnątrz podszewką przepikowaną z watą.

N. 38. Ubranie wizytowe.

Tego rodzaju odrobienie stanika jakie widzimy na ryc. 38, odpowiednie jest tylko dla osób bardzo szczupłych. Suknia uszyta z gładkiej materyi jedwabnej, przody stanika dodane z ciężkiej materyi zielonej w kratę ponsową z żółtem; przefałdowanie idące od boków spięte na środku kokardą z wstążki lub aksamitki ponsowej, 6 cent. szerokiej układa się ze skośnej gładkiej materyi. Fałdowane szerokie przepięcie na bawecie zakończone także kokardą. Spódnica ogarnirowana wolantem z materyi w kratę; tunika z materyi gładkiej, środkiem przodu ozdobiona kokardami.

N. 39. Ubranie strojne z kwadratowo wyciętym stanikiem. Krój na arkuszu N. I, fig. 1—5.

Spódnica z blado niebieskiego atłasu, zakończona u dołu koronkową riuszą lub wolantem, przysłonięta jest tuniką z niebieskiej adamaszkowej materyi, z jednego boku zdobną wachlarzowym garnirunkiem z szerokiej koronki. Stanik kwadratowo wycięty garnirowany koronką, odpowiednio do tuniki, jest z przodu sznurowany aksamitką, zarzuconą za ozdobne metalowe guziki. Plecy zakończone suto fałdowanym karoczkiem, pod którym można dać upięcie w bufy lub nakształt wielkiej szarfy.

Opis do N. 3.

N. 1. Ubranie domowe z fałdowaną spódnicą.

Ryc. 1 przedstawia suknię z sukna ciemno zielonego, której spódnica ułożona w kontrafałdy 7 cent. szerokie, oszyta jest u dołu plisą aksamitną 15 cent. szeroką, nad którą w odstępie 3 cent. naszyta druga plisa wązka. Z tyłu dodana krótka suto upięta draperya. Baskina i wykrój stanika pod szyją oszyty plisą 7 cent. szeroką, zwężoną trochę przy zapięciu i otwartych brzegach. Przy krótkiej aksamitnej kamizelce dany stojący, 4 cent. szeroki kołnierz. Guziki małe szmuklerskie.

N. 2. Ubranie strojne z draperyą koronkową.

Piękna, strojna suknia srebrnego koloru, odrobiona była z faille i atłasu i ozdobiona draperyą z kosztownych 46 cent. szerokich, koronkowych falban. Tren gładko spuszczony, 180 c. długi, oszyty był u dołu 8 c. szeroką, w kontrafałdy układaną falbanką. Z przodu i z boków sukni dana draperya z długiego atlasowego bryta, poprzecznie fałdowanego i upiętego w sposób wskazany na ryc. 2, pomiędzy draperyą z koronek brukselskich. Stanik z krótką, z boków podciętą baskiną, zapięty z boku na duże guziki, zdobi kamizelkowy żabot z dwóch skrzyżowanych kawałków szerokiej blondyny. Rękawy ogarnirowane węższą blondyną.

N. 5—7. Zasłonka w kształcie sowy na lampę.

Zasłonkę robi się z kolorowej angielskiej bibułki złożonej w drobne, nierówne karby, a następnie zmięty i skręconej w ręku. Część rozpostartą na kloszu lampy, przedstawiającą korpus sowy, mającą 44 cent. długości, 34 dolnej a 20 górnej szerokości, robi się z dwóch odpowiednio długich arkuszy bibułki, sklejonych z brzegów podłużnych ze sobą, złożonych podwójnie, u dołu w nierówne zęby wyciętych, a następnie zmiętych podług wzoru. Na ryc. 6 dajemy w połowie naturalnej wielkości formę dziobu, któren robi się z czarnego papieru, a ryc. 7 przedstawia kształt ucha, które obadwa mają po 15 cent. długości w prostym brzegu dolnym, a po 18 w brzegu tylnym. Okręgi otaczające oczy 2 i pół cent. duże, zrobione z białego i czarnego papieru, mają 14 cent. średnicy.

N. 9. Książeczka z notatkami, oprawna w aksamit kolorowy, zawiera 12 kartek ze złoconemi brzegami, na których w górze wydrukowane są nazwy miesięcy, a poniżej zapisuje się daty imienin lub urodzin rodziny i przyjaciół lub inne fakta dla pamięci.

N. 10. Okrągła poduszka do kanapy.

Okrągłą, pierzami wysłaną poduszkę, pokrywa się pluszem lub atłasem kolorowym. Zwierzchnią stronę poduszki, przedziela się grubą szenilą odmiennego koloru, na 8 równych kwaterek, z których tylko trzy przyległe sobie zdobi haft złoty i kolorowy. Na środkowej z nich robi się monogram, herb lub literę imienia złotem, a na bocznych haftuje się kolorami gałązki kwiatów. Brzeg otacza gruby sznur szenilowy.

N. 11. Przykrycie na imbryk z herbatą.

Ryc. 11 przedstawia domek chiński służący do przykrycia imbryka, któren robi się z buretu kremowego koloru, z podszewką jedwabną lub kaszmirową watowaną. Ściany zdobią pejzażyki chińskie albo japońskie, haftowane różnokolorowo ściegiem płaskim. Każdą ścianę wykończa się osobno, następnie zeszywa nieznacznie z wierzchu, a na szwach daje się sznury. Dach składa się także z czterech oddzielnych części wyszytych w mijające się zęby naśladujące dachówkę. Między zeszycie dachu i w górny brzeg domku daje się cienki drucik. Wielkość domku zastosowana być powinna do wielkości imbryka; ściany naszego modelu trzymały 16 cent. w kwadrat, a dach miał 17 cent. środkowej długości, szerokość dolna powinna być tak dopasowana, żeby dach wystawał w koło na 3 cent.

N. 12. Fartuszek węgierski.

Fartuszek stanowiący ozdobę i dopełnienie domowego ubrania, składa się ze szlaku 40 cent. długiego a 18 c. szerokiego, zakończonego u dołu frendzlą 50 cent. szeroką; na modelu haft renaissance i krzyżowy, robiony był na grubem niewarowem płótnie, różnokolorowym jedwabiem. Frendzlę siepie się w płótnie przy szlaku, a z wierzchu dodaje się gęsty rząd nitek jedwabiu w kolorach haftu, które przyszywa się do brzegu szlaku.

N. 13. Poduszka do chrztu dla dziecięcia. Model zrobiony był z różowego pluszu, oszyty prawdziwą brukselską koronką i srebrnemi sznurami. Sukienkę z białej materyi zdobił haft różowy.

N. 16—17. Dwa ubrania dla niedorosłych panienek.

N. 16. Ubranie z paltocikowym stanikiem.

Do otwartych przodów dodane są krótsze części kamizelkowe, a do pleców fałdowana baskina. Materyał w kratę dany jest prosto w szerokim plisowanym wolancie a wzięty skośnie na draperyę fartuszkową zakończoną z tyłu sutem podpięciem. Na modelu spódnica była z pledowego materyału w kratę kolorową na tle bronzowem, a stanik z sukienka bronzowego wyszyty sutaszem.

N. 17. Ubranie z vêtement.

Spódnica ułożona jest w koło w potrójne kontrafałdy, których powierzchnię 10 c. szeroką zdobi szlak haftowany, 7 c. szeroki. Vêtement kraje się podług formy stanika z długą baskiną, na którym krótką, sutą draperyę z tyłu, przyszywa się na 12 cent. poniżej wcięcia w pasie. Z przodu upina się zręcznie, do brzegu stanika przyczepiony bryt prosty, 60 cent. szeroki a 136 długi, z boków do 19 cent. sfałdowany i pod tylną draperyę podchodzący. Stanik zapina się z boku na kryte haftki.

N. 18—19. Taboret do fortepianu. Haft ściegiem smyrneńskim na pluszu.

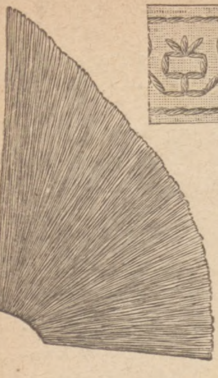
Środek taboretu pokrywa szlak haftowany na pluszu z długiem włosem, mający 22 cent. szerokości, gdy szerokość taboretu wynosi 36 c. Z boków podłużnych szlak zachodzi na obicie z gładkiego pluszu przepinane w bufy sznurem jedwabnym, a z brzegów poprzecznych spuszczony jest za ramę drewnianą i zakończony sutą, szeroką frendzlą. Haft robi się nie rozdzieloną filoselą na tle z pluszu jedwabnego z długim włosem, bo na takim robota ładnie odbija pogłębiona w tle puszystem wystającem. Każden kwadracik zajmuje cztery nitki w kwadrat, kanwy podłożonej. Model robiony był na pluszu koloru bordo filoselą oliwkową w dwóch cieniach. Ryc. 19 daje w naturalnej wielkości część szlaku środkowego, w którym kwadraty powtarzają się trzy razy.

N. 22—23. Dwie kokardy żabotowe ozdobione haftem tureckim.

Obiedwie kokardy ozdobione są bogatym haftem tureckim robionym na płótnie złotem, srebrem i kolorowe-



N. 1. Ubranie domowe. N. 2. Ubranie strojne wizytowe.



N. 7. Część zasłony na lampę ryc 5.



N. 3. Szlaczek.

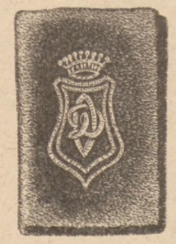
mi jedwabiami. Na ryc. 17 w N. 4 Tygodnika Mód dajemy w naturalnej wielkości deseń do kokardy ryc. 23; brakujący róg trzeba w robocie dodać. Na modelu haft płaski robiony był srebrem i złotem a wązki ażurowo wyglądający szlaczek i sześciokąt środkowy, ściegiem krzyżowym na czterech nitkach płótna w kwadrat, przyciągając ściegi trochę, ażeby nadać im przejrzystość.

N. 24—25. Koszyczek do robót na drutach, ozdobiony wyszywaną koronką.

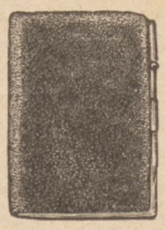
Koszyczek mający 30 cent. długości a 12 środkowej szerokości, upleciony był z łoziny bronzowego koloru, wewnątrz dany był atłas bordo w dnie gładko a z boków przymarszczony i na 2 cent. w górze wystający. Zwierzchnią stronę zdobiła koronka robiona z kremowego wełnianego sznureczka spajanego nićmi kordonkowemi, której próbkę naturalnej wielkości, dajemy na r. 24. Z wierzchu wyszywa się koronkę sznelą bordo, włóczką zieloną i kręconym sznureczkiem z nitką złotą. Uszy okręcone włóczką zieloną, pompony i kwasty z włóczki i jedwabiu.



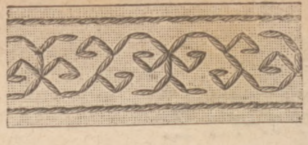
N. 5. Zasłona w kształcie głowy, ścieg na lampę. Patrz ryc. 6 i 7.



N. 8. Książeczka notatkowa. Wierzch.



N. 9. Książeczka. Spód do ryc. 8.



N. 4. Szlaczek.



N. 6. Część stanowiąca dziób sowy, do ryc. 5.



N. 10. Poduszka okrągła.



N. 14. Foremka do ryc. 15.



N. 11. Chata chińska do przykrycia imbryka z herbatą.



N. 16. Ubranie dla młodej panienki.



N. 17. Suknia z vêtement.



N. 15. Pudelek. Zabawka dla dziecka.

N. 26. Czepeczek ranny gazowy.

Fason czepeczka stanowi czółko ze sztywnego tiulu, mające 3 cent. szerokości a 22 długości, którego końce złączone są z tyłu paskiem 12 cent. długim. Okrągłe przyfałdowane denko gazowe przyszywa się do czółka, na ktorem naszywa się dwa, jeden na drugi zachodzące rzędy drobno plisowanej koronki.

N. 27. Czepeczek ranny ozdobiony pukielkami ze wstążki.

Fason czepeczka stanowi czółko ze sztywnego tiulu, mające w brzegu przednim 37, w tylnym 32 cent. długości, w środku 7, a w brzegach 2 cent. szerokości. Kawałek białej materyi podszytej muślinem, stanowi małe denko. trochę przyfałdowane. Koronka 7 cent. szeroka w kontrafałdy ułożona, stanowi garnirunek z przodu i naszywa się z tyłu u dołu na denku; inny kawałek koronki 36 cent. długi, przymarszcza się, łączy w środku brzegami i przyszywa na środku denka. Ubranie czepeczka stanowią rozety i pukielki ze wstążeczki jeden cent. szerokiej, których rząd środkowy jest z różowej a brzeżne z blado niebieskiej wstążeczki. Ubranie to z równych pukielków złożone, układa się sposobem wskazanym na kawałku sztywnego tiulu mającym 14 cent. długości, 4 środkowej a 1 brzeżnej szerokości.

N. 35. Ubranie z krótkim vêtement.

Vêtement z materyi w deseń adamaszkowy podpięte à panier, dopełniają z przodu części kamizelkowe z materyi gładkiej, a do pleców dodane jest krótkie baskinowe upięcie. Dół vêtement i brzegi przodów oszyte są koronką hiszpańską 9 cent. szeroką. Spódnica z gładkiej materyi oszyta jest u dołu 10 cent. szerokiem plisowaniem, które pokrywa zupełnie falbana 11 cent. szeroka w kontrafałdy ułożona, nad nią dane dwa wolanty 20 cent. szerokie, oszyte koronką, nad obrąbkiem zaszyte w cztery wązkie zakładki, a w górze marszczone na trzy grube sznurki i zakończone nagłówkiem 4 cent. szerokim. Baskinę tylną stanowią dwa kawałki materyi 40 cent. szerokie, jeden gładki a drugi deseniowy, zeszyte wzdłuż ze sobą i bufiasto upięte.

N. 36. Ubranie z vêtement podpiętym à panier.

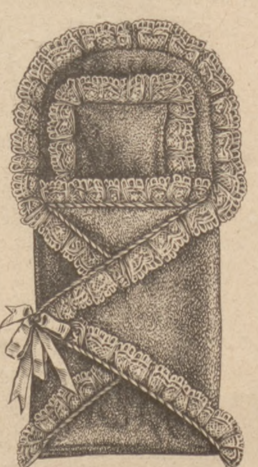
Ten fason nadaje się do połączenia różnych materyałów lub odmiennych kolorów. Bardzo ładny był model sukni odrobiony z jasno popielatego sukienka, ozdobionej plisą, ranwersami i częścią wstawioną w stanik, z pluszu koloru bordo. Spódnica oszyta była trzema wązkiemi, plisowanemi falbankami zakończonemi szeroką plisą pluszową. Górną część pokrywa szerokie plisowanie, u dołu luźno puszczone i na plisę zachodzące. W stanik wstawiona jest przemarszczana i trochę bufowana część pluszowa, a przy krajaniu przodów dodaje się materyału na krótkie panier, do którego zarówno jak i do krótkiej draperyi tylnej przyszywa się szeroki ranwers pluszowy. Kołnierz stojący i mankiety pluszowe; potrzeby szmuklerskie z popielatego jedwabnego sznura.



N. 18. Taboret do fortepianu. Patrz ryc. 18.



N. 12. Fartuszek węgierski.



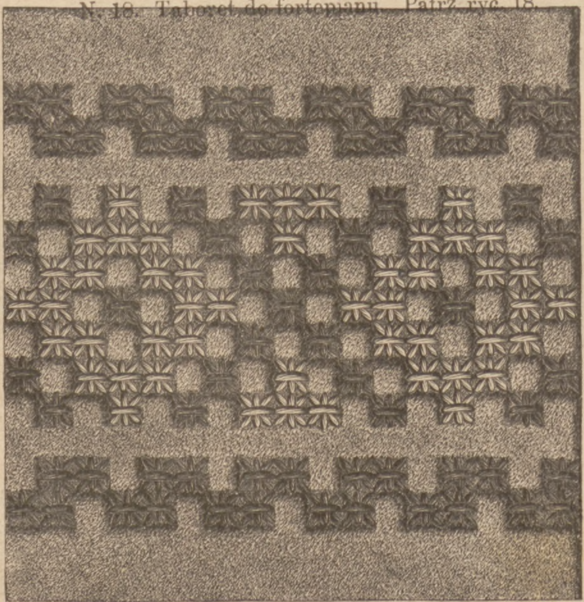
N. 13. Poduszka do noszenia dziecka.

N. 37. Mufka spacerowa z frendzli marabutowej.

Stosownie do panującej dziś mody pasmanteryi i frendzli, model mufki spacerowej, odrobiony był z frendzli marabutowej, do której dodane były promyki z wytłaczanej szneli. Czarna mufka na modelu, miała 22 cent. długości a 45 obwodu, na zwierzchniej stronie frendzla w środku 15 cent. długa, zwężała się stopniowo z boków do 6 cent. Kokardy ze wstążki w atłasie, 6 cent. szerokiej, albo piękne kwasty i sznury jedwabne zdobią mufkę. Podszewka atłasowa.



N. 20. Koronka szydełkowa do chusteczki ryc. 2 w N-rze 4.



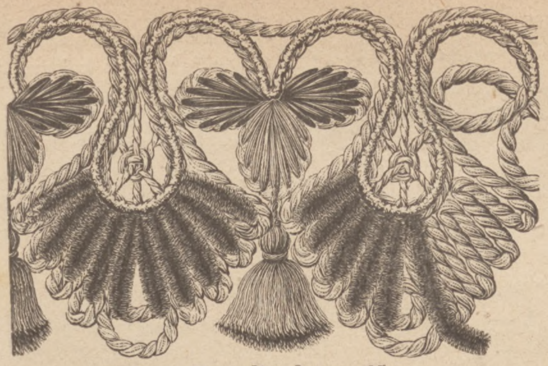
N. 19. Szlak wyszyty na pluszu do ryc. 18.



N. 21. Koronka szydełkowa do chusteczki ryc. 2 w N-rze 4.



N. 22. Żabot z atłasu i blondyny, zdobny haftem tureckim.



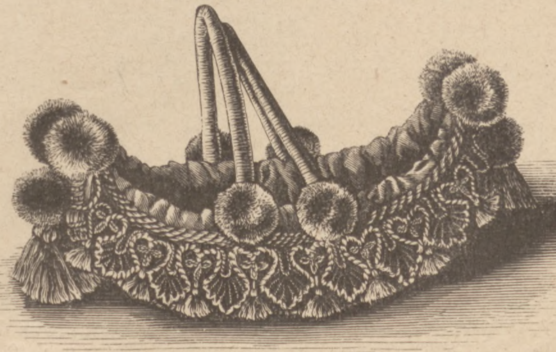
N. 24. Torsadka do ryc. 25.



N. 23. Żabot z surah i walansienki, zdobny haftem tureckim.

N. 38. Mufka na koncerty lub do teatru, ozdobiona kwiatami.

Mufka z czarnego drobno przemarszczanego atłasu, ozdobiona była fałdowaną, 10 cent. szeroką koronką, kokardami z grubo prążkowanej wstążki velours ottoman gałązkami bzu lila i pączkami różanemi. Podszewka czarna atłasowa.



N. 25. Koszyczek do roboty na drutach. Patrz r. 24.



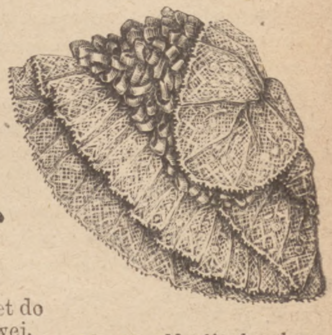
N. 28. Bukiet z róż i piór do ubrania balowego.



N. 29. Bukiet do sukni balowej.



N. 26. Negliżyk gazowy z koronką.



N. 27. Negliżyk z koronki i wstążki.



N. 30. Wachlarz z piór, zamknięty. Patrz ryc. 31.



N. 31. Wachlarz z piór, otwarty. Patrz r. 30.

N. 43—44. Kosz do papierów.

Pleciony z grubej trzcinki z podszewką ponsową atłasową, zakończoną w górze 9 cent. szeroką pliską pluszową, do połowy na wierzch kosza wywiniętą, ozdobiony był pomponami z włóczki ponsowej i medaljonami trzymającemi 20 cent. w kwadrat, obróconemi w górę rogami spiczastemi haftowanemi na rzadkiem i grubem płótnie, ściegiem krzyżowym, i gobelinowym, filozelą ponsową, blado niebieską i oliwkową. Skończoną robotę rozciąga się gładko na tekturze a brzegi obejmują się listewką pluszową. Deseń haftu dajemy na ryc. 16 w N. 4, a model uszów na r. 43 w N. bieżącym.



N. 32. Rękaw z przypinanym mankietem, do ryc. 25 w N. 4.

N. 46. Kostium do ślizgawki.

Kostium ze stanikiem huzarskim, odrobiony był z wytłaczanego aksamitu i sukienka granatowego, z obłożeniem z bobrowego futra.

N. 36. Suknia strojna, ozdobiona haftem.

Bardzo piękna i strojna była suknia odrobiona z ciężkiego satin merveille ozdobiona sutym haftem. Wstawioną w środek przodu część fałdowaną układa się z bryta mającego 107 cent. dolnej szerokości, ku górze skośnie zwężonego. Boczne części spódnicy ozdobione na wierzch gładko wywiniętym, 11 cent. szerokim szlakiem haftowanym, mają w górze 52 cent. szerokości a do dołu w brzegu przednim, 82 cent. długim, są skośnie zwężone do 40 cent. szerokości. Górne brzegi trzeba trochę w ten sposób zaokrąglić, ażeby długość boczna wynosiła tylko 70 c. Bryty te przyszywają się mocno na spódnicy, a szew górny przykrywa draperya ułożona z bryta prostego, mającego 110 cent. długości a 52 szorokości, przyszytego w górze na spódnicy, 10 cent. poniżej wszycia w pasek. Sutą tylną draperyę układa się z bryta 160 cent. długiego a 80 szerokiego. U dołu spódnica oszyta plisowaniem 10 cent. szerokim. W stanik bawotowy wstawiony plastron haftowany, a brzeg dolny ozdobiony szlakiem w górę wywiniętym. W kołnierz stojący daje się podpórki z druciku.



N. 33. Szkatułka na srebro stołowe. Patrz ryc. 34.



N. 35. Suknia z krótkiem vêtement.



N. 34. Szlak do ryc. 33.



N. 36. Suknia z vêtement à panier.

Opis do N-ru 4.



N. 37. Mufka z frendzli marabout. Do ubrania spacerowego.



N. 40. Czapeczka kaszmirowa dla chłopczyka. Patrz ryc. 39.

N. 41. Kapotka kaszmirowa dla dziewczynki. Patrz ryc. 42.



N. 38. Mufka z materyi, koronki i kwiatów. Do teatru na koncert i t. p.

N. 1—3. Chusteczki do nosa. Patrz ryc. 20—21 w N. 3.

Rycina 3 przedstawia w naturalnej wielkości koronkę irlandzką otaczającą batystowe tło chusteczki ryc. 1, liczące w kwadrat 22 cent. Na ryc. 2 widzimy chusteczkę batystową, oszytą kilkoma rzędami tasiemeczki koronkowej, obrobionej robotą szydełkową, której próbki daliśmy na ryc. 20—21 w N-rze 3.

N. 4. Koronka haftowana na tiulu.

Odpowiednia jest na stojące kołnierzyki (col militaire) i gładkie wykładane mankiety, jakie obecnie są bardzo modne. Deseń narysowany na kalce lub ceratce podkłada się pod cienki tiul i wywodzi kontury bawełną do haftu N. 30, obrzucanie zaś dane N. 50. Wywodzenie dane cienkiemi koronkowemi nićmi, ściegiem zwanym point de reprise. Tiul stanowiący tło między deseniem wycina się starannie.

N. 10—11. Woreczek do robót.

Przyozdobiony jest w dolnej połowie pokryciem z kanwy siatkowej 12 cent. wysokim, którego rogi górne są zaokrąglone; r. 11 przedstawia w naturalnej wielkości część kanwy oliwkowego koloru, wyszytej filozelą w pasy deseniowe, przedzielane kratką ażurową, przewleczoną złotym sznureczkiem. Woreczek dany z atłasu vieil-or, liczy 24 cent. wysokości a 16 szerokości.

N. 12 i 42. Szelki robotą szydełkową.

Robota szydełkowa z kolorowego kordonku robi się wzdłuż, na podłożeniu z cienkiego jedwabnego sznureczka; zaczyna się od środkowego łańcuszka 63 cent. długiego, do którego następie z obu stron przyrabiają się rzędy o: ści. W drugiem obrobieniu oczka przewłóczą się przez obie górne nitki o: poprzedniego rzędu. Skończone paski trzeba przystębnować do oprawy skórzanej, jaką kupuje się u rękawicznika.

N. 13—15. Poduszka do kanapy. Wyszycie ściegiem greckim.

Rozmiar poduszki jest mniejszy niż zwyczajnie, długość bowiem wynosi 37 cent. a szerokość 28 cent. Zwierzchnia poszeweczka dana z żółtawego płótna, ozdobiona wyszyciem z dobrego do prania, purpurowego jedwabiu, ścieg podwójny grecki opisywaliśmy już w r. 1881. Na szwach bocznych łączących brzegi poszewki dany wązki szlaczek podług ryc. 14. Po skończeniu poszewkę nawłóczy się na aksamitną poduszkę i sznuruje sznurem jedwabnym, zakończonym pomponami, podług ryc. 13. Ryc. 15 daje piękny deseń na zwykły ścieg krzyżykowy. (*D. n*).



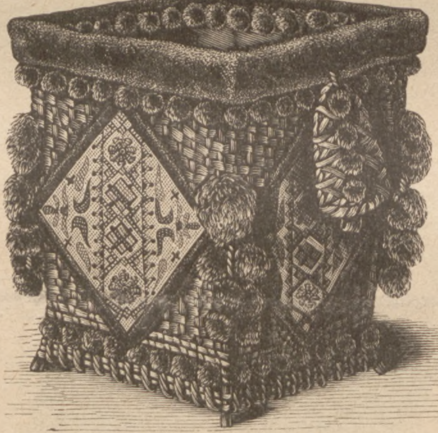
N. 39. Czapeczka dla chłopczyka, patrz ryc. 40.



N. 43. Ucho ozdobne do ryc. 44.



N. 42. Kapotka dla dziewczynki. Patrz ryc. 41.



N. 44. Kosz do papierów. Patrz r. 16 w N. 4.



N. 46. Ubranie na ślizgawkę.



N. 45. Kapturek pluszowy.



N. 47. Suknia wizytowa zdobna haftem.